

ULUBIONE WIERSZYKI Z DAWNYCH LAT

zebrała

Agnieszka Muszyńska

SŁOWO WSTĘPNE

Zimą i wiosną 1999 roku przeżywałam ogromnie dużo stresów. Aby choć częściowo otrząsnąć się z nich i przywrócić do równowagi naruszone zdrowie psychiczne, wymyśliłam sobie kurację, która przez pewien czas zaabsorbowała mój umysł i pozwoliła choć trochę oddalić stresogenne myśli. Moja kuracja polegała na wydobywaniu z głębokiej pamięci wierszy i wierszyków zapamiętanych dawno temu, a teraz – prawie zapomnianych. W dawnych latach bardzo lubiłam takie śmieszne wierszyki. Potem już nie było czasu i nie tylko nie uczyłam się nowych, ale o wielu znanych mi wierszach nawet nie myślałam przez wiele, wiele lat. Kuracja ta stanowiła ogromne wyzwanie dla mego udręczonego umysłu. W rezultacie jednak przyniosła ona sporą gromadkę “moich ulubionych wierszyków”.

Większość z nich – to wierszyki niepoważne, śmieszne albo przez swoją treść, albo też formę rymów i rytmów. Poważna “Oda do Młodości” (którą wielce szanuję za entuzjazm i gloryfikację zgody, jedności i wspólnego wysiłku) znalazła się w tej antologii, by przeciwstawić jej treść następującym po niej “Juwenaliom starsuszków” Załuckiego...

Marian Załucki, obdarzony ogromnym poczuciem humoru, był moim ulubionym poetą. Był on mistrzem rymów i mistrzem satyrycznego spojrzenia na polską rzeczywistość lat 50-tych i 60-tych. Znałam sporo jego wierszy na pamięć w owych czasach. “Polaka w Italii” wykorzystałam w komentarzu do mego pokazu przeźroczy, zrobionym po powrocie z dwumiesięcznego pobytu we Włoszech w 1969 roku. “Białą Damę”, którą wspaniale prezentowała Irena Kwiatkowska w teatrze “Syrena”, ja “podrabiałam” przy ogniskach na Mazurach.

Podjąwszy moje wyzwanie, po intensywnym przypominaniu sobie różnych strofok, stwierdziłam niekiedy z przykrością, że tu i ówdzie brakuje mi linijki, brakuje puenty... Zwierzyłam się z tej mojej bolączki polskiemu studentom, Oli i Rafałowi, którzy odbywali właśnie staż w naszej firmie w Newadzie. Nic mi nie mówiąc Ola i Rafał skontaktowali się ze swoimi rodzinami w Warszawie, prosząc o pomoc. Gdy po skończonym u nas stażu żegnałam się z nimi przed ich odjazdem do Polski, wręczyli mi prezent: cztery tomy wierszy Załuckiego! Jakże miły był ten prezent! Przez następnych parę dni miałam wspaniałą frajdę odnajdywania Załuckiego na nowo. Jestem ogromnie wdzięczna Oli, Rafałowi i ich bliskim, którzy stracili zapewne mnóstwo czasu szperając po antykwariatach.

Rozpoczynający antologię wierszyk “Telefon” był pierwszym, w wieku lat czterech, nauczoną się przeze mnie na pamięć wierszykiem. Deklamowałam go dumnie przy różnych okazjach ciociom i babciom. Nazwisko autora tego wierszyka wyleciało mi niestety z pamięci. Będę wdzięczna czytelnikom, za przypomnienie mi autora.

W dalszej kolejności umieściłam kilka klasycznych wierszyków dla dzieci napisanych przez Brzechwę i Tuwima. Wierszyki te nadają się jednak świetnie i dla dorosłych. Zawierają często głęboki filozoficzny podtekst.

Mieszkając blisko 20 lat w Ameryce często byłam pytana jak brzmi polski język. Przy takich okazjach najczęściej deklamowałam “Lokomotywę” Tuwima. Moi rozmówcy na ogół

odgadywali co było treścią wiersza. Niektórym jednak, szczególnie tu na zachodzie Stanów, wydawało się, że to nie pociąg, lecz kowbojscy jeźdźcy gnali przez prerie w rytmie “to-tak-to-to, to-tak-to-to”...

Z wierszem “Scheda po Stalinie” spotkałam się w Paryżu w 1963-cim roku. Wydarzenia, o których mowa w tym wierszu, były wtedy dość świeże i silnie poruszające. Oczywiście wiedza i rozmowy o tych wydarzeniach w Polsce były absolutnie zakazane. Mówienie na temat tych wydarzeń, a już w szczególności deklamowanie, czy nawet posiadanie satyrycznych wierszy poruszających ten temat groziły represjami władzy. Staralam się w Paryżu nauczyć tego wiersza na pamięć, ale na to nie za wiele było czasu. Wpisałam go więc drobnym maczkiem do kalendarzyka, używając pewnego kodu przy bardziej drastycznych fragmentach. Teraz, po 36-ciu latach odnalazłam wyblakłe kartki wydarte z owego kalendarzyka. Musiałam używać silnego szkła powiększającego by je odczytać. W pełnym odtworzeniu wiersza brakuje mi jednak dwóch istotnych szczegółów, co do których nie jestem pewna: tytułu i autora (za co tego ostatniego z góry przepraszam...).

Jeden mój własny wierszyk znalazł się również w tej antologii. Napisałam go w stanie frustracji, starając się wyszydzić mało wymyślne, moim zdaniem, zainteresowania mego wówczas nastoletkowego syna, Romka. Linijki tego wierszyka przepisywałam bezpośrednio z czołówek “Przeglądu Sportowego”, czytowanego w owych czasach namiętnie przez Romka.

Antologię zamyka “Rok dwutysięczny” widziany oczyma Mariana Załuckiego przed 43-ma laty...

Dziś w przededniu owego roku dwutysięcznego ofiarowuję moim przyjaciółom (i ich wnukom) tę antologię – wynik kuracji antystresowej. Kuracja ta znacznie pomogła mi odnaleźć zachwianą równowagę psychiczną. Może też czytelnikowi przyniesie nieco rozrywki i uśmiechu?

Agnieszka Muszyńska

Gardnerville, Newada, w kwietniu 1999 roku

P.S. W roku 2003 otrzymałam od mojej przyjaciółki Aliny z Warszawy list z paczką wycinków z Gazety Wyborczej. Alina dobrze wiedziała, że lubiłam śmieszne wierszyki. Przysłała mi rymowanki czytelników, którym redaktor Probiereczyk zadawał tematy w postaci ciągu słów, a oni odpowiadali wierszykami, w których owe słowa miały być użyte. Jednym z takich zadanych tematów były następujące wyrazy: "krewetka, krawatka, serwetka, serwatka i serwantka". Przeczytałam w tych wycinkach trzy nagrodzone wierszyki na ten temat, poznając reguły gry. Temat mnie zafrapował, szczególnie, że nazwisko jednego z moich kolegów – Gienia Karwatki, w oczywisty sposób pasowało to tego ciągu słów. Napisałam wierszyk, zupełnie inny niż te wydrukowane, ale zachowujący tę samą konwencję. Dodałam też nieco spolszczoną “korwetkę” (Corvette), również pasującą do tego ciągu. Wierszyk ten załączam na końcu listy moich ulubionych wierszyków.

W marcu 2007 roku

SPIS RZECZY

TELEFON.....	4
LOKOMOTYWA, J. Tuwim.....	5

CZY TO PIES, CZY TO BIES, J. Słowacki.....	6
ŻABA, J. Brzechwa.....	7
BYCZEK FERNANDO, tłum. I. Tuwim.....	8
KACZKA DZIWACZKA, J. Brzechwa.....	11
O ADZE I KOCURKU.....	12
ROBACZEK, J. Brzechwa.....	14
NA STRAGANIE, J. Brzechwa.....	15
ODA DO MŁODOŚCI, A. Mickiewicz.....	16
JUWENALIA STARUSZKÓW, M. Załucki.....	17
DOMEK JEDNORODZINNY, M. Załucki.....	19
RELAKS, L.J. Kern.....	20
POCHWAŁA SPANIA, L.J. Kern.....	20
STOPA W GŁOWIE, M. Załucki.....	21
SCHEDA PO STALINIE, M. Hemar.....	23
BIAŁA DAMA, M. Załucki.....	24
POLAK W PARYŻU, M. Załucki.....	26
POLAK W ITALII, M. Załucki.....	28
AUTOBUS, J. Brzechwa.....	29
LIST Z OBÓR, J. Prutkowski.....	30
INWOKACJA, J. Przybora.....	31
PANI TWARDOWSKA, A. Mickiewicz.....	31
ZE ZBIORU “PEGAZ DĘBA”, J. Tuwim.....	33
CIESZĄ MNIE MOJE RADOŚCI, M. Załucki.....	34
ŻURAW, J. Brzechwa.....	35
NA CO CI TO, KOBIETO?.....	35
ODROBINA MĘŻCZYZNY, J. Przybora.....	37
PLANIŚCI.....	38
JAK NIE SPRZEDAŁEM DUSZY, M. Załucki.....	39
GRAM W TOTKA, M. Załucki.....	40
HYMN ROMKÓW, A. Muszyńska.....	42
FRAGMENT “KWIATÓW POLSKICH”, J. Tuwim.....	43
SWOJSKIE STWORZENIE ŚWIATA, M. Załucki.....	44
BAJKA O PIJANYM SOLITERZE, J. Minkiewicz.....	45
KRASNOLUDEK, M. Załucki.....	48
ETIUDA POLSKA NA Ż, RZ, SZ i CZ, L.J. Kern.....	49
POŻEGNANIE, J. Tuwim.....	49
TATAR, J. Minkiewicz.....	50
FRASZKI, M. Załucki.....	51
MÓL, M. Pawlikowska-Jasnorzewska.....	51
SJAMSKIE KOTY, M. Samozwaniec.....	52
GAMA GASTRONOMICZNA, J. Minkiewicz.....	52
REFLEKSJA PATRIOTY, J. Paczkowski.....	52
FRASZKI, J. Sztudynger.....	53
ROK 2000-CZNY, M. Załucki.....	54
KREWETKA, KRAWATKA, SERWETKA,... A. Muszyńska... 56	56

TELEFON

(Autor zapomniany...)

Mój telefon znowu dzwoni:

- Hallo, kto przy telefonie?
- Słoń.
- Czego pan sobie życzy?
- Czekolady i słodyczy.
- Dla kogo?
- Dla mego synka.

Wystarczy nieduża skrzynka,
Sto kilo, najwyżej dwieście,
Więcej w brzuszku nie pomieści,
To jeszcze takie maleństwo...

Minęła niedługa chwila –

Telefon od Krokodyla:

- Mój drogi, proszę, przyślij kalosze
- Mnie, moim dziatkom i żonie,
- Błagam, łyż rzewne ronię! –
- Ależ czekaj-no, tego za wiele,
- Przecież dostałeś w niedzielę
- Śliczne i nowe kalosze gumowe! –
- Ach te, coś przysłał w zeszłym tygodniu,
- Dawnośmy zjedli, bośmy byli głodni,
- A teraz czekamy i ślinkę łykamy
- Marząc o nowych,
- Słodkich kaloszach gumowych!...

Potem dzwoniły Zajączki:

- Strasznie pomarzęły nam rączki!
- Niech pan przyśle dwie pary rękawic,
- Byśmy mogły na śniegu się bawić! –

A potem dzwoniły Małpeczki:

- Prosimy o nowe książeczki!! –

A dziś był telefon od Misia.

Gruby Misio co miał tchu

Ryczał “BEE!!” i ryczał “BUU!!” ...

- Panie Niedźwiedziu, niech pan nie ryczy,
- Czego ode mnie pan sobie życzy? –
- A on tylko “BEE!!” i “BUU!!”
- Co za “BUU!!” i co za “BEE!!”
- Proszę odłożyć słuchawkę! –

Potem czaple brodząc w rowie

Narzekały na swe zdrowie:

– Niech pan przyśle butelkę rycyny,
Bośmy zjadły żab dwa tuziny! —

Strasznie-m zmęczony, wciąż telefony,
Nie śpię trzy noce i czwarty dzionek
Przymrużam oko, znowu dzwonek.

– Kto mówi?
– Tu Nosorożec.
– Co się stało?
– Niech pan pomoże! Straszne nieszczęście!!
– A co tam?
– Do błota wpadł Hipopotam!
– Wpadł?
– Wpadł, biedaczysko i nie może wyleźć, bo ślisko.
O jeśli pan nie pomoże, hipopotam utonie w bajorze,
Zginie, przypadnie, zostanie na dnie!!...
– Dobrze, dobrze, ruszam w drogę,
Jeśli będę mógł – pomogę. —

– Och, ciężka to jest robota
Pana Hipcia wyciągać z błota...

LOKOMOTYWA

Julian Tuwim

Stoi na stacji lokomotywa.

Ciężka, ogromna i pot z niej spływa,
Tłusta oliwa.

Stoi i sapie, dyszy i dmucha.
Żar z rozgrzanego jej brzucha bucha:
Buch, jak gorąco! Uch jak gorąco!
Puff, jak gorąco!! Uff, jak gorąco!!!!

Już ledwie sapie, już ledwie zipie,
A jeszcze palacz węgiel w nią sypie.

Wagony do niej podoczepiali,
Wielkie i ciężkie, z żelaza i stali.
I pełno ludzi w każdym wagonie!
A w jednym krowy, a drugim konie,
A w trzecim siedzą same grubasy,
Siedzą i jedzą tłuste kiełbasy!
Czwarty wagon pełen bananów,

A w piątym stoi sześć fortepianów!
W szóstym – armata. O!! Jaka wielka!
Pod każdym kołem żelazna belka.
W siódmym dębowe stoły i szafy,
W ósmym słoń, niedźwiedź i dwie żyrafy,
W dziewiątym same tuczone świnię,
W dziesiątym kufry, paki i skrzynie...
A tych wagonów jest ze czterdzieści!!
Sam nie wiem co się w nich jeszcze mieści.

Lecz gdyby przyszło tysiąc atletów
I każdy zjadłby po tysiąc kotletów
I każdy, nie wiem jak by się nateżał,
To nie udźwignie!! Taki to ciężar!!
Nagle... gwizd!! Nagle... świst!!
Para – buch!! Koła w ruch...
Najwpierw powoli, jak żółw ociężale
Ruszyła maszyna po szynach ospale.
Szarpnęła wagony i ciągnie z mozołem,
I toczy się, toczy się koło za kołem,
I biegu przyspiesza i gna coraz prędzej,
I dudni i puka, łomoce i pędzi!!!

A dokąd? A dokąd? A dokąd? Na wprost!!
Po torze, po torze, po szynach, przez most!
Przez pola, przez łąki, przez góry, przez las...
I spieszy się, spieszy, by zdążyć na czas!!
Do taktu turkoce i stuka i puka to:
Tak-to-to, tak-to-to, tak-to-to, tak to-to...

A jak-że to, skąd że-to, czemu tak gna?
A co to-to, co to-to, kto to tak pcha?
Że pędzi, że wali, że bucha, “buch, buch”?!!

To para gorąca wprawiła to w ruch!
To para – co z kotła – rurami do tłoków,
A tłoki kołami ruszają z dwóch boków.
I gnają i pchają i pociąg się toczy,
Bo para te tłoki wciąż tłoczy i tłoczy.
I gna ją, i pcha ją, i stuka, i puka to:
Tak-to-to, tak-to-to, tak-to-to, tak to-to.....

CZY TO PIES CZY TO BIES?

Juliusz Słowacki

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,

Aż pies czarny bieży drogą.
Czy to pies, czy to bies?

Żaden z nich nie odpowiedział,
Żaden bowiem nic nie wiedział.
Czy to pies, czy to bies?

Lecz obydwaj tak się zlekli,
Że weszli w rów i przyklękli.
Czy to pies, czy to bies?

Drżą, potnieją, włos się jeży,
A pies bieży, a pies bieży...
Czy to pies, czy to bies?

Bieży, bieży, już ich mija,
Podniósł ogon i wywija...
Czy to pies, czy to bies?

Już ich minął, pobiegł dalej,
Oni wstali i patrzali...
Czy to pies, czy to bies?

Długo stali i patrzeli,
Lecz się nic nie dowiedzieli
Czy to pies, czy to bies?

ŻABA

Jan Brzechwa

Pewna żaba była słaba,
Więc przychodzi do doktora
I powiada, że jest chora.

Doktór włożył okulary,
Bo już był cokolwiek stary,
Potem ją dokładnie zbadał
No i wreszcie tak powiada:

- Pani zanadto się poci.
- Niech Pani unika wigoci.
- Niech Pani nie siada przy pompie.
- Niech Pani się czasem nie kapie!
- Niech Pani deszczu unika.
- Niech Pani nie pływa w strumykach.
- Niech pani nie myje się z rana.

– Niech Pani, Pani kochana
Na siebie chucha i dmucha,
Bo Pani musi być sucha!!!

Wraca żaba od doktora,
Myśli sobie: – Jestem chora,
A doktora chora słucha.
Mam być sucha, będę sucha!!

Leczyła się żaba, leczyła,
Suszyła się długo, suszyła,
Aż wyschła tak, że po troszku
Została z niej garstka proszku.

A doktor drapie się w ucho:
– Nie uszło jej to na sucho!!

BYCZEK FERNANDO

przełożyła Irena Tuwim

.... Otóż moi kochani, dawno temu, w Hiszpanii
Mieszkał sobie pewien młody byczek imieniem Fernando.
Inne młode byki Fernanda rówieśniki
Skakały po łące, bodły się rogami, brykały całą bandą...

Ale nie Fernando.

Fernando lubił spokój.
Lubił wachać kwiatki – storotki i bławatki.
W ciche wieczory letnie chadzał pod drzewo stuletnie
I w jego cieniu siadywał.
I wachał polne kwiatki – stokrotki i bławatki.

Jego mamusia, krowa, patrzyła na to za smutkiem.
Fernandziu, – mówiła – zobacz, ty stajesz się odludkiem!
Myczała bardzo żałośnie: – Popatrz, co z ciebie wyrośnie?!
Czemu nie skaczesz, nie brykasz i towarzystwa unikasz?
Czemu rogami nie bodziesz? Popatrz na inną młodzież! –
I ciągle w kółko to samo.
Fernando na to: – Mamo, na co mi bójki i wojny?
Ja jestem byczek spokojny i stokroć bardziej wolę bławatki i kąkole! –

Jego mamusia, choć krowa, była wyrozumiała:
– Niech mi się tylko uchowa, już na nic nie będą zważała! –

Mijały lata.

Fernando, chociaż nie skakał, nie brykał,
Lecz mimo to wyrósł nad podziw na całkiem tęgiego byka.

Często inne młode byki, Fernanda rówieśniki,
Przystawały przed afiszem i czytały co tam pisze.
Każdy z nich pragnął szalenie walczyć kiedyś na arenie.
– Ach w Madrycie, ach w Madrycie, tam jest – myślą – bycze życie!!
– Tysiąc ludzi bije brawo, ty się kłaniasz w lewo, w prawo,
– Ty się wściekasz, gra muzyka!... To dopiero raj dla byka!! –

A Fernando siadał w cieniu i przyglądał się w milczeniu
Małym chmurkom i kwiatuśkom, przysłuchiwał ptaszkom, muszkom...

Kiedyś przyszło pięciu ludzi w bardzo dziwnych kapeluszach
Najsroźszego wybrać byka, który wściekle się rozjusza.
Ten, co wierzga należycie, będzie walczyć dziś w Madrycie!

Byki na to jak na lato.
Zaczęły się bósć rogami, skakać, wierzgać kopytami,
Ryczeć, kopać ile sił i spod kopyt wzbijać pył.

A Fernando odszedł skromnie, myśląc: – Co tam komu po mnie?
– Na co ja się komu przydam, jeszcze się przy tamtych wydnam
Słabym i wątłym chucherkiem... –

I odszedł sobie spacerkiem pod ulubione drzewo.

Siadł sobie wśród trawy zielonej, tam gdzie stokrotki się bielą,
A że był zamyślony, więc przez nieuwagę usiadł na... Panu Trzmielu.
Pan Trzmiel, choć mniejszy od byka, ale jest z tych jegomości
Z którymi znajomości należy raczej unikać,
Bo gdy się taki rozzłości, to nogi brać za pas i zmykać.
Pan Trzmiel czuł się mocno dotknięty i miał zwichnięte skrzydełko,
Więc z zemsty w ogon Fernanda wbił swoje ostre żądętko.

– Aj!!! – Fernando strasznie ryknął, z bólu wierzgnął, kozła fiknął,
Skacze w górę, łeb pochyla, tak jak by miał lada chwila
Świat calutki wzięść na rogi.

– Patrzcie, jaki to byk srogi!!! Ten się wścieka, ten się rusza!! –
Zawołało pięciu ludzi w bardzo dziwnych kapeluszach.
– Jakie groźne ma spojrzenie! Ten by walczył na arenie! –
Krzyczą – Hurra!! Hej!! – z zachwytu. – Jedzie z nami do Madrytu!! –

Wzieli wózek, wiązkę siana, siedem koni i furmana.
I Fernando – ładny los to – do Madrytu jedzie prosto.

Tam – orkiestry przygrywiają, w oknach flagi powiewają.
Uroczyście niesłychanie grzmią okrzyki i wiwaty.

W łóżach siedzą piękne panie i we włosach mają kwiaty.

Trębacz konny zapowiada: – Byk Fernando, tromtarada,
Byk Fernando, tromtadrata, najgroźniejsza bestia świata!! –

Pierwsi idą banderylierzy.
Noga za nogą, jak się należy
Idą, idą, idą parami.
Będą byka kłuli pikami.
Trzeba bestię najwpierw rozdrażnić!
I drżą im łydki, choć są odważni.

Potem na koniach strasznie buńczucznie,
W rękach trzymając ogromne włócznie
Stępa za nimi – pikadorzy.
Będzie Fernando miał się niezgorzej!!

Na samym końcu kroczy Matador, a za nim chłopak z błyszczącą szpadą.
Matador dumnie kręci wąsika: Tą właśnie szpadą przebije byka!
Nosi czewoną pelerynę i bardzo pewną siebie ma minę.

Znowu okrzyki, znowu wiwaty, panie mu do nóg rzucają kwiaty.
Ścielą się kwiaty wonną girlandą...
I kto się zjawia wreszcie?..... Fernando!!

Banderylierom twarze pobladły i ostre piki z rąk im wypadły.
Z galerii słychać głośnie okrzyki: – Fernando groźny! Fernando dziki!! –
Bali się także i pikadorzy..... A sam Matador – chyba najgorzej!

Fernando na środek areny wbiega i burza oklasków i wrzask się rozlega.
Nawet Matador troszeczkę zbladł...
Takiego byka, co by tak brykał nie widział Madryt od trzystu lat!
– O! – słychać wszędzie i każdy truchleje.
– O!! Co to będzie?! Krew się poleje!!

Ale Fernando – byczek spokojny, unikał zwady, nie lubił wojny,
Nie cierpiał bójek, nie znosił gwaru i walczyć z nikim nie miał zamiaru.
Usiadł na piasku, niczym na łące, spojrzął wokoło
I – co mu tam,
Bo widział tylko kwiaty pachnące,
Nic tylko kwiaty we włosach dam!

Nie chciał być wściekły, groźny i dziki!
Nic nie pomogły włócznie i piki.

Banderylierzy ze złości skaczą,
I nawet konie omal nie płaczą.
Na czym świat stoi klną pikadorzy,
A sam Matador – chyba najgorzej!

- A niech to zwierze biją granaty!!
- Zamiast się ciskać to wacha kwiaty!!

- Ach co za hańba!! Ach, jaki skandal!!! –

Znowu na wózek wzięli Fernanda.
Powędrowało dobre byczysko przez pola, łąki, na swe pastwisko.
Pod ulubionym usiadło drzewem, chłodząc się lekkim wiatru powiewem.
I odtąd, chociaż może to plotka, zawsze w tym miejscu można go spotkać,
Jak sobie siedzi i wacha kwiatki, maki, stokrotki, jaskry, bławatki...
Słucha jak szumią lasy i niwy...

I jest podobno bardzo szczęśliwy.

KACZKA DZIWACZKA

Jan Brzechwa

Nad rzeczką, opodal krzaczka
Mieszkała kaczka-dziwaczka.

Lecz zamiast trzymać się rzeczki
Robiła piesze wycieczki.

Raz poszła więc do fryzjera:
– Poproszę o kilo sera! --
Tuż obok była apteka:
– Poproszę mleka pięć deka! --

Z apteki poszła do praczki
Kupować pocztowe znaczki.

Zjadając tasiemkę starą
Mówiła, że to makaron.
A gdy połknęła dwa złote,
Mówiła, że odda potem.

Gryzły się kaczki okropnie:
– A niech tę kaczkę gęś kopnie!!

Aż wreszcie znalazł się kupiec:
– Na obiad można ją upiec!

Pan kucharz kaczkę starannie
Piekł, jak należy, w brytfannie,
Lecz zdębiał kaczkę podając,
Bo z kaczki zrobił się zajac.

W dodatku cały w buraczkach...

Taka to była dziwaczka!!

O ADZE I KOCURKU

(autor zapomniany...)

Panna Teczka z nosem długim miała dawniej dwie papugi.
Ale jedna, zwana Klara, była już ogromnie stara.
Raz na wiosnę, był to marzec, pokichała przy katarze,
Pokaszłała też niewiele... no i zdechła raz w niedzielę...
– Och!! – płakała panna Teczka, bo kochała Klarę przecie.
Ale płacz nic nie pomoże, zakopała więc niebożę,
W ogródeczku, tam pod różą, gdzie już fiołków rosło dużo...

Na pociechę jej została jeszcze druga, pstra, wspaniała,
Choć nie młoda ta powaga, lecz rozmowna wielce – Aga.
Nieraz gwarzy przez dzień długi panna Teczka do papugi,
A papuga, wszak wypada, gorliwie jej odpowiada.

Piętro niżej, na parterze wychowanie straszne zwierzę.
– Pfe! – Ruchliwe, obrzydliwe, bez ogłady kszty prawdziwej.
Skacze wciąż po oknach, płotach: Doskonały okaz kota.
Nie znosiła tego stwora Aga do rozmowy skora,
Nie lubiła panna Teczka, że to niby grzebie w śmieciach,
Że rozrzuca to i owo, że paskudzi wciąż na nowo.
Obie z Agą się zgadzały, że świat cały jest wspaniały,
Ale na cóż, Boże złoty, chodzą po nim TAKIE KOTY!!

Lecz rzecz wielce osobliwa: Otóż niechęć ta straszliwa
Nie martwiła wcale kota: Nie spostrzegął wprost niecnota!
Chodził on całymi dniami, jak kot, swymi gdzieś drogami,
Czasem nawet w nocy przyszedł, czasem przyniósł parę myszek,
Lub bywało, że w słoneczku siadał sobie na ganeczku,
Lizał łapy, mrucał z cicha, lub na szare wróble czyhał.
Aga zaś na swoim kiju z wielkiej pasji ledwo żyje.
– Ty brzydalu, ty straszdyło! Już mi na cię patrzeć zbrzydło!!
– Jakie to ma uszy, oczy, patrzcie jak podstępnie kroczy,
Jak to się do wróbli skrada!! A psik! Cóż to za szkarada!!

A kot parzył jeno z dala, chętnie krzycheć jej pozwalał,
Zerkał na papuzie dąsy i uśmiechał się pod wąsem...
Gdy mu było już za dużo, to zielone ślepie mróżył
I odchodził wolnym krokiem po sztachetkach koło okien...

Raz nie było go ze dwa dni. Aga omal nie wypadnie

Z swego okna na podwórze. Ani śladu po kocurze!
– Gdzież kocisko to wędruje? – Aga z pasją wykrzykuje.
I bez kota jeszcze gorzej. Z nudów Aga spać nie może,
Nie ma kogo krzyczeć, łać, na nic cała wróbla zgraja,
Na nic buldog od sąsiada, co pod oknem zawsze siadał...

Trzy dni nie ma już kocura. Aga jak burzliwa chmura,
Nastroszona milczy, nie je, jeszcze z tego osiwieje...

I znów się pojawił kocur na ganeczku na uboczu...

Aż raz...

Było to we wrześniu, wieczór już zapadał wcześniej.
Panna Tecią, jak w jesieni, stała z pękiem kluczy w sieni,
Bo znoszono jej z ulicy węgiel – z wozu do pownicy.
Trudno by pstropióra Aga miała przy tym jej pomagać,
Więc w swym oknie na podwórze w wieczór ten została dłużej,
Była w bardzo złym humorze. Wzrok jej służył coraz gorzej
I do tego jeszcze co dnia, wyglądała od tygodnia
Nadaremnie kocich śladów. Więc nie jadła dziś obiadu,
Nastroszona znów siedziała, smutnie coś przemyśliwała...
Nagle, niby cichy pocisk, kształt przez okno mignął koci.
Aga w krzyk: – A psik, niecnota, panno Teci, wyrzuć kota!! –
Lecz kocisko już jest przy niej (wszak z zębności ród ten słynie),
Cap ją łapą w głowę, w szyję! Aga za to dziobem bije,
Wali mocno, gdzie padnie, podziobała go szkaradnie.

Wpada panna Tecią żywo, cuci Agę nieszczęśliwą.
Kocór umknął – rzecz to jasna, ale jak jej Aga własna
Prezentuje się żałością!! Poturbował ją nieznośnie!
Pełno barwnych piór wokoło... Aga z szyją prawie gołą
Sprawdza stan swej toalety, a stan straszny to niestety!
I żałością lamentuje: – Umrę z tego, śmierć już czuję,
– Czyż możliwy żywot długi oskubanej tak papugi?!
– Moja suknia, moje pióra!! Przyjdzie kara na kocura!!

Przyszła kara, lecz nie zaraz. Wielki z tego był ambaras.
Była zima. Śniegu puchy na płot słały swe poduchy,
A przez płot wędrował kocur. Buldog go do razu poczuł:
Hop do kota! Ten nieborak, że był nie zdrow już od wczoraj
(jakieś przypadłości kocie), zachwiał się na starym płocie
I spadł prosto na buldoga! Toż się zaraz bestia sroga
Dobrała do kociej skóry! Hałas był, aż drżały mury!
Sądny dzień po prostu nastał!

Panna Tecią szła do miasta i po drodze na podwórzu
Patrzy, że tak śniegu dużo.
Usłyszała kocie wrzaski i warczenie psa przy płocie,

Więc dalej-że do buldoga (choć się bała psów, nieboga...)
Buldog się od razu skulił, krótki ogon pod się wtulił,
Zemknął prosto do mieszkania, nie chciał przecież dostać lania!
Panna Teczka teraz z bliska przystąpiła do kociska
I aż załamała ręce: Był jak Aga, nawet więcej,
Oskubany, pogryziony, z krwią futerkiem poplamionym...

Zapukała do sąsiadów, lecz nikogo ani śladu, pusto, cicho na parterze...
Zabrała więc biedne zwierzę, myśląc – Co też Aga powie?
Może była z psiskiem w znowie? –

Lecz poczciwe to ptaszysko zapomniało kotu wszystko.
Wierście mi, wszak to nie błaga, pannie Teczki dopomaga,
Głodzi dziobem opatrunki, słowem wzór z niej opiekunki.
Kocur winy swej żałuje, już się dużo lepiej czuje,
Bardzo mało już kuleje, dobrze mu się teraz dzieje!

Panna Teczka – dusza złota, wyprosiła wreszcie kota
U sąsiadki na parterze. Nikt go już im nie zabierze!

ROBACZEK

Jan Brzechwa

Entliczek pętliczek, czerwony stoliczek,
A na tym stoliczku pleciony koszyczek.
W koszyczku – jabłuszko,
W jabłuszku – robaczek.
A na tym robaczku czerwony kubraczek.

Powiada robaczek:
– I dziadek i babka i ojciec i matka
Jadali wciąż jabłka.
A ja już nie mogę! Już dosyć i basta!
Mam chęć na befsztyczek!! –

I poszedł do miasta.

Szedł długo, lecz jednak nie zmienił zamiaru.
Gdy znalazł się w mieście – popędził do baru.
A w barze – wiadomo, zwyczajnie utarte.
Podchodzi doń kelner, podaje mu kartę...
A w karcie.... okropność, przyznacie to sami:
Jest zupa jabłkowa i knedle z jabłkami,
Pieczone są jabłka, duszone są jabłka
I z jabłek szarlotka i kompot i babka....

– No widzisz robaczku i gdzie twój befsztyczek?... –
... Entliczek pętliczek, czerwony stoliczek...

NA STRAGANIE

Jan Brzechwa

Na straganie w dzień targowy
Takie słyszy się rozmowy:

– Może – pan się o mnie oprze,
Pan tak wędnie, panie Koprze... --
– Cóż się dziwić mój Szczypiorku,
Leżę tutaj już od wtorku...
– Lecz z Pietruszką, z tą jest gorzej,
Błada, chuda spać nie może...

– A to feler – westchnął Seler.

Burak stroni od Cebuli, a Cebula doń się czuli:

– Mój Buraczku, mój czerwony
Czy byś nie chciał takiej żony?
Burak tylko nos zatyka:
– Niech-no pani szybciej zmyka,
Ja chcę żonę mieć buraczką,
Bo przy pani wszyscy płaczą!

– A to feler – westchnął Seler.

Na raz słysząc głos Fasoli:

– Gdzie się pani tu gramoli?!
– Widzieliście jaka krewka!!
Odpowiada jej Marchewka.

– Niech rozsądzi nas Kapusta.

– Co, Kapusta, głowa pusta?!!

A Kapusta rzecze smutnie:

– Moi drodzy, po co kłótnie?
Po co wasze swary głupie?
Wnet i tak zginiemy w zupie...

– A to feler – westchnął Seler.

ODA DO MŁODOŚCI

Adam Mickiewicz

Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy;
Młodości! Podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzleczę światem w rajska dziedzinę ułudy:
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka w nadziei złote malowidła.

Niechaj, kogo wiek zamroczy chyląc ku ziemi poradłone czoło
Takie widzi świata koło, jakie tępymi zakreśla oczy.

Młodości!

Ty nad poziomy wylatuj, a okiem słońca ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!
Partrz na dół – kędy wieczna mgła zaciemnia
Obszar gnuśności zalany odmětem.
To Ziemia!
Patrz, jak nad jej wody trupie wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu to się wzbija, to w głąb wali:
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali;
A wtem jak bańka prysnął o szmat głazu.
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby;
To samoluby!

Młodości!

Tobie nektar żywota natenczas słodki, gdy z innymi dzieję:
Serca niebieskie poi wesele, kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem młodzi przyjaciele!

W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele;
Jednością silni, rozumni szalem, razem młodzi przyjaciele!
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległym ciałem dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem młodzi przyjaciele!...
Choć droga stroma i śliska, gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością uczmy łamać się za młodu!

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Młodzieńcem zdusi Centaury,
Pieku ofiary wydrze, do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga, łam czego rozum nie złamie:
Młodości! Orla twych lotów potęga i jako piorun tve ramię.

Hej! Ramię do ramienia! Spólnymi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy!...
Dalej, bryło, z posad świata! Nowymi cię pchniemy tory,
Aż zapleśniałej zbywszy się kory zielone przypomnisz lata!

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednym “stań się” z bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie,
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnia.

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha:
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie;
Oto miłość ogniem zionie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha:
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spójnie.
Pryskają nieczułe lody
I przesady światło ćmiące;
Witaj, jutrzeńko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

JUWENALIA STARUSZKÓW

Marian Załucki

W młodości żyje się żarliwie,
Młodość jest szczęściem i nadzieją...
Doprawdy ja się ludziom dziwię,
Że się starzeją...

I wszyscy!
Nawet płeć niewieścia!
Znam taką jedną panią Zosię:
Przed wojną miała lat 20...
A dziś?... Dziś już — 28!

Jak ten czas leci!...
Ogałaca nas z tego,
O czym potem śni się...
Młodość ucieka i nie wraca!
Pewnie ma chody w “Orbisie”...

Jak młodość cenić — ten tylko się dowie,
Kto spryczał! — To oczywiste...
Bo potem — jak mówi łacińskie przysłowie —

Już... omne animal triste.
Już wszystko mija — wszystko, niestety,
Prócz chrapki...
Tej — na kobiety.

Nie można pozbyć się tej chrapki —
A to dlatego chyba głównie,
Że w Polsce same r ó w n e babki.
Bo w demokracji wszyscy równi!

Choćbyś się nawet bronił chciał ty,
To mimo swoich wielu wiosen —
Gdy z bliska widzisz wdzięczne kształty,
Czujesz — że mleko masz pod nosem!...

Lecz cóż...
Uderzam do Barbary,
A ona czyni mi już wstręty:
Za stary — mówi.
To co, że stary?
A może nie-do-roz-wi-nię-ty?
Może spóźniony! I to znacznie!
I teraz się dopiero zacznie?!!!

Czasami człek nie z własnej winy
Tryb życia wiódł tak niespokojny,
Że się na własne spóźnił urodziny
O rok, o dwa...
O pięć lat wojny!

Dorośli! Bracia outsiderzy!
Nie dajmy, by was krzywdził czas!
Młodość każdemu się należy!
Młodości!
Proszę skrzydła — raz!

Urządźmy — myśl tę rzucam w dal ja —
Juwenalia staruszków —
Jakieś... p i e r n i k a l i a !
Zagrajmy na skrzydłach jak Concordia-Knurów,
Poprzebierajmy się za trubadurów —
I serenady idźmy śpiewać gorące
Pod balkonami, pod kasztanami
Dziewczętom po pięćdziesiątce!...

Potem niech dźwięki trąb nas wiodą —
Pochodem przez miasto idźmy zadzierzyści!
Każdy już z długą siwą brodą —
Ogolą się tylko... egzystencjaliści!

A nocą — dziarskie tańce jeszcze
W rytmie szaleńczych rok-end-rol
I dzikie krzyki ku orkiestrze:
— Powoli, panowie, po-wo-li!...

DOMEK JEDNORODZINNY

Marian Żalucki

Każdy ma swe ideały...
I ja mam – skromny i mały.
Jednorodzinny domek, jednorodzinny potomek,
Żona, też być powinna, nie duża, jednorodzinna.
Ogródek. Bez. Konwalijka...
Skromniutko, proszę ja was...
I pięciorodzinna pensyjka.
Dla jednej rodzinki – w sam raz.

Sam domek dziś, moi złoci,
Tanicha! Może być bowiem
Z żużlu, z odpadków, z trocin
I z tego czego nie powiem...

Z wikliny – jeszcze oszczędniej...
Zabawa zaś znakomita:
Jesienią domek ci więdnie, wiosną domek zakwita...

Tyle – że boże krówki trzymają się w prześcieradłach,
Więc trzeba domku pilnować,
Żeby go która nie zjadła...

Lecz ja mam pomysł, co płynie
Z mej poetyckiej natury:
Czy mógłbym dom mej rodzinie
Zbudować z makulatury?!

Czemuż wiklina i łoża słowo w tym względzie ubiegła?
Nie gorsza poezja i proza,
I zawsze – co cegła, to cegła!!

Mieszkałbym tam kulturalnie,
Bo bym zbudował – widzicie
Z “Trybuny Ludu” – bawialnię,
Sypialnię z “Kobiety i Życie”,
Okap, co smętnie zwisa, z “Obywateli” Brandysa,

A z Putramenta – fundament,

Bo twarda sztuka – Putrament.

Z dachem już trudniej, niestety,
Lecz też znalazłem, EUREKA!!
Dach – z byle jakiej gazety!
Tam dziś już nic nie przecieka!

Na dachu parę ozdóbek
Nadto szpikulec na czubek –
Żeby się dumnie piął do góry
Mój pałac z makulatury!!

RELAKS

Ludwik Jerzy Kern

Kiedy człowiek ani rączką, ani główką,
To jest relaks właśnie. Modne słówko.
W całym świecie to ogromny teraz szal,
Każdy by się tylko relaksować chciał!

Zdrowe to podobno niezmiernie.
Wobec tego: – Mały relaks, panie Kernie!...

– Prawda? Jakie miłe to i cudne?
A w dodatku nie tak znowu trudne.

Trzeba tylko, by rzecz ująć ściśle,
Nic nie robić, oraz przestać myśleć.

Z tego względu, coś tak mówi mi,
Że Polacy, to my relaks mamy w krwi!

POCHWAŁA SPANIA

Ludwik Jerzy Kern

Istnieje jakieś błędne mniemanie,
Że brzydką rzeczą jest długie spanie.

Jeśli ktoś w łóżku dłużej poleży
Zakotwiczony w uroczym śnie,
Ludzkość od Spartan, aż po harcerzy
Na głos takiego wyśmiewać śmie.

A ja oświadczam wam tu ze szlochem,

Że czas już przestać pogardzać śpiochem!

Samson, Achilles, Kant i Moniuszko,
Słynni mocarze i dusz i ciał,
Nadzwyczaj sobie cenili łożko
I osiem godzin każdy z nich spał.

A gdyby spali tak po pół doby,
Kto by ich czyny opisał, kto by?

Już kilku bardzo uczonych gości,
(każdy z nich masę tytułów ma)
Twierdzi od dawna, iż w bezsenności
Kryje się właśnie to źródło zła.

Argumentuję w sposób dość ścisły:
Kto nie śpi – ten ma głupie pomysły.

Cezar i Borgia, Neron i inni
Kiedy zostali zmorzeni snem,
Jak te baranki byli niewinni,
I tacy słodcy jak miód lub dżem.

Jeśliby dłużej i częściej spali,
Mniej by zdziałali w tej krwawej skali.

Kto śpi nie grzeszy – jak bardzo ładnie
Ujął to kiedyś nieznany człek.
Kto śpi – nie pije, kto śpi – nie kradnie,
Śpiąc również trudno podrobić czek.

Proszę uchylić więc to mniemanie,
Że brzydką rzeczą jest długie spanie.

Chyba, że właśnie jest zebranie.

STOPA W GŁOWIE

Marian Żalucki

Czy to na Śląsku, czy w Krakowie,
W ogonku, czy w dziewiczym lesie
Bez przerwy mam tę stopę w głowie.
I czekam
Kiedy się podniesie...

Bo ja nie jestem byle zrzędą!

Nie!!...
Mam już miejsce w pulariesie
Na te pieniądze, co tam będą,
Kiedy mi stopa się podniesie.

I kocham...
Kocham dziewczę młode –
Lecz czekam (choć serce rwie się!).
Za to napewno ją uwiodę
Kiedy jej stopa się podniesie!

To nic,
Że czuję troszkę źle się,
A na Krynice nie wystarczy...
Kiedy mi stopa się podniesie
Podlecę sobie...
Uwiąd starczy.

Tyś mi najbardziej ukochaną,
O przebudzenia chwilo wzniosła,
Kiedy to, sprawdzam
W każde rano,
Czy mi już troszkę się podniosła!
Pełen niepokojących przeczuć
Węsę, czy forsę nie czuć...

Nie czuć.

Lecz słyszę pisk najoczywistszy...
Więc serce drży mi, wzdycham: "Oby!..."
I nad słuchuję co to tak p i s z c z y...
Może dobrobyt?!

Nie...
To był tylko dzwonek w drzwiach.
Więc znów przecucia przez grzbiet płyną...
Może ni stąd ni z owąd (ach!)
Mój szofer z moją limuzyną!!...

Wzruszony wołam przeto: "Proszę!"
Sąsiad. Pożyczył mi kalosze.

Trudno. Poczekam. Odrobinę.
W gazetę nóżki swe owinę.
Najszybciej bowiem (jak to wiecie)
Stopa podnosi się
W gazetę.

SCHEDA PO STALINIE: WYZNANIE CHRUSZCZOWA

Marian Hemar (?)

To było tak: Siedzimy na naradzie,
Przychodzi Beria, grzecznie wita się z nami, kładzie
Na stole obok siebie grubą skórzaną teczkę.
Teczka jak teczka, tyle, że jakby ciężka troszeczkę,
Trochę jakby pękata... trochę za bardzo, ale
Trudno wypytywać niedbale:
A co u was w tej teczce? On człowiek drażliwy, właśnie,
Lubi być obrażony, zerwie się, drzwiami trzaśnie...
A teraz główna rzecz – zgoda, jeden wspólny kolektyw.
Co mi do jego teczki – ja nie żaden detektyw.
Lecz choćbym nie chciał – widzę: Ona jakaś wypchana...
No więc ja nic i tylko mrugam do Mikojana.
Mikojan od niechcienia drapie się w dolną szczękę,
Mruga na Malenkowa, Malenkow na Makarenkę.
Generał Makarenko głową kiwnął przytomnie,
Mruga do Malenkowa, Malenkow mruga do mnie.

U wszystkich znaczy się w tej chwili zapytania te same:
Co Beria ma w tej teczce? Za przeproszeniem, piżamę?
Odiekałon? Żyletki? Czy brzytwy w futerale?!
Co ma to ma, to jego teczka, nie moja, ale
Po prostu mimo woli każdemu się nasuwa,
Ze w tej pękatej teczce, cholera, może spluwa?
Może, cholera, nagan, ten Beria taki Cygan,
Może u niego w tej teczce maszynowy tomigan?

Ale my przecież w zgodzie, jedna wspólna rodzina,
Trudno robić rewizję. A tu już się zaczyna
Dyskusja zasadnicza. Ja ją właśnie prowadzę:
Jak po nieboszczyku, Stalinie, przejąć i dzielić władzę
Tak, żeby jasno było na szczycie i na spodzie,
Że teraz rządzi kolektyw w tolerancyjnej zgodzie,
Że już dosyć terroru i gwałtownej tyranii,
Tylko my demokracją zainteresowani.

Dyskusja jest gorąca, powaga niezachwiana
I tylko Kosygin mruga na Mikojana.
Mikojan od niechcienia drapie się w dolną szczękę,
Mruga na Bułganina, Bułganin na Makarenkę.
Generał Makarenko przysłuchuje się skromnie,
Mruga do Malenkowa, Malenkow mruga do mnie,
Bo wszyscy naokoło miarkują niespodzianie,
Że Beria w każdym punkcie ma wprost przeciwne zdanie.
Jakby nas prowokował, jakaś chytra rozgrywka:

Co my białe – on czarne, co my za – on przeciwko,
My – że tak – on, że nie tak. My – że to – on, że nie to...
I wtem widzę, że w trakcie tej sprzeczki
Palcami coraz bliżej bawi się koło teczki
I w nikłowy zameczek niby nerwowo pstryka:
Zamyka: “Pstryk!” – otwiera. Otwiera: “Pstryk!” – zamyka
I coraz bliżej tego schowanego nagana...

Więc ja nic, ja tylko mrugam na Mikojana,
Mikojan na Bułganina, Bułganin na Makarenkę,
A Makarenko nagle: “Cap!” złapał Berię za rękę.
Druga ręka w kieszeni, rewolwer: “Cap!” i w Berię –
“Bach, bach, bach!” i w samo serce wypalił całą serię.
Mnie się w tejże sekundzie cudem przypomina,
Że u mnie też w kieszeni automatyczna maszyna.
Więc błyskawicznym ruchem odwracam się na pięcie
I “bach, bach, bach!” – prosto w Berię.
I w tym samym momencie Malenkow i Kosygin, Mikojan i Bułganin
Przypominają sobie zdziwieni i ucieszeni,
Że u nich przypadkowo też rewolwery w kieszeni.
Więc – “Bach, bach, bach!!” – nim ucichły kolektywne nagany
Już Beria demokratycznym sposobem rozstrzelany.
Podziurawiony jak sito, pocharatany na sieczkę...

I teraz kolektywnie otwieramy tę teczkę.
W teczce spluwy nie było, tylko pędzel, żyłетки,
Odekafon, piżama i zapasowe skarpetki.
Cały “corpus delicti” leży teraz na stole.
A wot! Jak nas ten Beria chciał wyprowadzić w pole!!
Nie tylko, że zamachowiec, w dodatku oszust taki,
Że nawet spluwy nie miał choćby dla niepoznaki!

Surowa ta kara za lekka dla takich czarnych owiec!
Tak zginie każdy oszust i zamachowiec!

Niech świat się dowie wreszcie, brew fali złych inwektyw
Jak w Rosji Sowieckiej rządzi demokratyczny kolektyw!

BIAŁA DAMA

Marian Żalucki

– Zmarłam w czternastym wieku, z poniedziałku na wtorek...
Wszystkich bezpartyjnych proszę o paciorek!

Ja, duch z tamtego świata, zjawia, fenomenon,
Dusza potępiona na Niebieskim Plenum...

Za to, zem poskapiała wdzięków mego ciała,
Straszna mnie zemsta spotkała feudała.

Długo mi obiecywał złota pełne czasie,
PGR feudalny i pałac wspaniały,
Lecz ja wybrałam cnotę! I dlatego straszę.

Ciekawam co wy byście o panie wybrały?
No cóż... za wiek dwudziesty wdzięczne bądźcie Bozi.
W tym wieku już nic wam nie grozi!!

A mnie w lochu zamczyska zakuto w łańcuchy,
Ciężkie żelazne nałożono pęta,
Aż w mękach po miesiącu wyzionęłam ducha.
I odtąd właśnie straszę. Jako – wyzionięta.
Jako duch, świetlny puch,
Płatna co miesiąca fluoroscencja pracująca!

Przy czym, przestraszony każdy na tej ziemi
Zaliczałby mi się do premii,
Lecz przez te materializmy wasze –
Nic, nawet normy nie wystraszę!

Bezproduktywnie mijają mi noce,
Metafizycznych brak dziś niepokoi,
W socjalistycznej czym straszyc epoce?
Każdy się albo bomby... albo żony boi!
Jeszcze gdy tylko czasem ci z NIK-u przyjadą,
To się poniekąd żegnają... z posadą.

Lecz tutaj nawet i to nie!
Bezradna drzę w kacie, bledsza niżli wszelkie bladolice,
Odkąd w tym to zamczysku, po małym remoncie
Urządzono Dom Wczasów, dla Ministrów i Vice....

O strachach mowy nie ma! Nikt nie spojrz, nie słucha,
Każdy, jako marksista, boi bać się ducha!
Nikt metafizycznym lękiem się nie splami.
W Warszawie trząsą wszystkim. Tu – ani portkami.

Już próbuję co mogę, ile sił mi starczy:
Czasem porwę im z biurka raport gospodarczy,
Jakieś cyfry pozmieniam przysłane depeszą, by przestraszyć ich...
Gdzie tam! Dopiero się cieszą!

Późno potem w nocy siedzą i radzą przy stole,
Zapewne bardzo ważne rozdzielając role,
Że aż mnie, ducha, krzyk przeraża dziki:
– Szlemik w piki!! –

Daremnie w korytarzach szlocham się zanoszę...
Nie, już nie żeby straszyć. O audiencję proszę!
Przyjmij Władzo Ludowa! Wysłuchaj!
Albowiem coś mam do powiedzenia!...
Oto co im powiem:

Za to żem poskaąpiła wdzięków mego ciała,
Tu w lochu zagłodzonam na śmierć. Przez feudała!!
Więc z wami jestem cała, z wami wszystka,
Mnie agitować już nie ma potrzeby!
Duch, lecz z przekonania tom materialistka,
Świadomość określona przez niebyt!!
Najpostępowsza z białych dam!...
I co ja – przepraszam – z tego mam?

Czyż już dziś dla upiorów szczyt ziemskiej kariery
To być “upiołem dziennym” w Pralni nr 4?...
Ja chcę dotrzymać kroku współczesnemu tempu!
Chcę straszyć na etacie... Jako Duch Postępu!
W jakimś nowym wieżowcu! Gdzieś na którejś z budów!
Albo w tej, Telewizji, bo tam nie ma cudów...
W jakimś Ministerstwie! Gdziekolwiek, Rodacy!!!
Przecież brak wam podobno właśnie – ducha do pracy?!...
Więc zgłaszam się do roboty. Darmo i bez fuchy.
Tak już jest: trzeba płacić albo wierzyć w duchy!

No więc?... Bo kur już zapiał... O, znowuż słyhać go tu...

(kur pieje coraz natarczywiej)

Możesz pisać, możesz pisać... Odmawiam powrotu!!

POLAK W PARYŻU

Marian Żałucki

Wylądowałem. Wyniosłem walizy.
I przeliczyłem wszystkie swe dewizy:
“Módl się i pracuj”, “Polsce wiernie służ”, “Złote serce”,
Trochę franków.
I już.

A tu sklepy ogromne kuszą, abyś wszedł,
Jakieś “Au Printems”, jakieś “La Fayette”,
Gdzie widzisz jak na stołach, witrynach i ladach
Ten ich kapitalizm – całkiem się rozkłada!

Tu to. Tam tamto...
Aż się serce telepie
Gdy sobie wyobrazić manko w takim sklepie!

A Paryżanie mili byli dla mnie ogromnie:
Mona Liza w Luwrze uśmiechała się do mnie,
Chociaż dla Francuzów trudna była era:
Nie mieli właśnie rządu i nie mieli premiera,

Frank im spadał gwałtownie,
A ja drżałem poblady,
Żeby mi moje przypadkiem nie spadły...

O względy też dbając międzynarodowe
Do każdego kelnera trzymałem przemowę,
Że historyczne więzy nas złączyły na amen,
Że u nas był Henryk Walezy, a u nich był Jerzy Putrament,
Że Polska i Francja to dwoje przyjaciół,
I bardzo go proszę, żeby mnie nie naciął.

A z oczu kelnera rozpacz biła szczerą,
Bo on rządu nie miał i nie miał premiera...

Lecz gdy oranżadę wlewał mi do szkanki
Czułem jak się leją moje własne franki!

Aż on spytał widząc mój tragiczny profil:
– Franków panu żal? – Tak, bo ja frankofil!!

I odtąd ciągle za mną chodził już ten żal,
Od Pól Elizejskich do placu Pigalle,
Tam, gdzie kuszą dziewczęta.
A człowiek się gryzie,
Bo co spojrzy na cizię, to już po dewizie!

Lecz gdy jedna rzekła, że mi szczęście da,
– C'est si bon, – powiedziałem – Que sera, sera...

Musiałem, bo z jej oczu rozpacz biła szczerą:
Ani rządu, biedactwo, ani nawet premiera...

Na odchodnym rzuciła uśmiech Mony Lizy,
A ja znów musiałem przeliczyć dewizy.

Przeliczyłem dokładnie, a tam tylko już:
“Módl się i pracuj”, “Polsce wiernie służ”...

Nie było z czym zostać,
Więc wzruszony ogromnie Wersal jeszcze zwiedziłem

(Chyba widać po mnie),
Wreszcie po tym Wersalu – odjechałem.

Bez żalu.

Bo cóż mi tam światła, neony et cetera...
Kiedy ja bym już nie mógł.
Tak żyć.
Bez premiera!

POLAK W ITALII

Marian Żalucki

O, zefirów italskich anielskie podmuchy...
O, boski Leonardo! O freski! O ciuchy!!
I ty polska męko spod włoskiego nieba:
Tu jeść się nie opłaca,
Absolutnie!
A trzeba...

Usiadłem do wieczerzy tragiczny jak Byron –
Każdy kęs staje w gardle... koszulą non-iron,
Ortalionowe długi palto,
Płaczą bliźniaki z Ponte Rialto...

Nieszczęsny – przeliczyłem w tamtą i z powrotem
Makaron na nylony, nylony na złote
I – Scusi! Przepraszam! Buona notte!
Żadna siła nieczysta nie pchnie mnie już do bistra!
Tu Polak nie romantyk! Tu – ekonomista!
Tu nie czas na poezję:
Tyle kupi, co nie zje...

I już nie cieszy Veronese, nie zachwyca Tycjan,
Tylko w sercu pretensja gorzka...
Do Fenicjan,
Którym kiedyś wynaleźć forszę się udało...
Wynaleźli. To dobrze.
Ale czemu tak mało?!!

AUTOBUS

Jan Brzechwa

... – Proszę wsiadać, kto do Łodzi, bo autobus już odchodzi!

- Po kolei, pan pozwoli, proszę bilet do kontroli!
- Bez biletu? Ale gdzie tu!! Gdzie pan siądzie bez biletu?!
- Nie ma miejsca, szkoda gadać, kto ma bilet, proszę wsiadać!

Pierwsza pcha się gruba dama. Gruba dama nie jest sama,
 Woła męża: – Chodź Tutusie, ja już jestem w autobusie!
 Więc pan Tytus pcha się za nią, popychając inną panią.
 A ta pani jest z Zalesia, ma ze sobą synka, Grzesia,
 Który chciałby (lecz nie może) pomajstrować przy motorze.
 Z walizkami się przeciska chudy, rudy pan z Grodziska,
 Za nim tuż mechanik z kina i sędzina z Konstancina,
 Oraz córka jej Tereska, a Tereska ciągnie pieska.
 Dalej pcha się kasjer z teczką, szewc warszawski, pan Maleczko,
 Dwie handlarki z koszykami, fryzjer z Warki z tobołkami,
 Repatriant z miasta Pińska i prezeska Kolasińska
 Doktor z wnuczką swą malutką i buchalter z kótka bródką.
 A na końcu dwie paniusie, idą cicho jak dwie trusie,
 Zając miejsce w autobusie.

Gdy już wewnątrz było ciasno pan konduktor drzwi zatrzasnął,
 Szofer włożył rękawice, ujął w dłonie kierownicę,
 Prawą nogę wbił w podłogę i... autobus ruszył w drogę.

Jedzie, jedzie przez ulice, przez Warszawę, przez stolicę,
 Gdzie zburzone kamiennice pragnąc zacząć żywot nowy oczekują odbudowy.
 Jedzie Chmielną, Sienną, Zielną, przez Żelazną, aż do Chłodnej,
 Bo tam przejazd ma dogodny. W dziesięć minut jest na Woli.
 Zwiększa szybkość. – Pan pozwoli, proszę bilet do kontroli!

Klakson trąbi, motor warczy. – Niech pan siada, miejsca starczy! –
 – Tylko nie na moją nogę!! – O, dziękuję, postać mogę,
 Zresztą siądę na tobołku. – Grzesiu, zmiłuj się, aniołku,
 Dokazujesz już od rana, popatrz, kopiesz tego pana!!
 Gruba dama cała w pasach woła: – Któż to popiół strząsa?!
 Nie, doprawdy mój Tytusie, nie pal, proszę, w autobusie!!
 Na to pani Szancerowa rzekła głośno: – Rzecz nie nowa!
 Każdy pali i nie pyta, a ja jestem chorowita...
 – Niech-no Pani już nie sarka! – odezwała się handlarka.

Wtem się zerwał pan z Grodziska: – Co z walizką? Gdzie walizka?!
 Tutaj stała, taka mała, czy jej pani nie widziała? –
 – Jest pod ławką, gdzie te skrzynie, w autobusie nic nie ginie! –

W autobusie ścisk straszliwy. Doktor sapie ledwo żywy,
 Mały Grześ rozsypał jabłka, fryzjerowi spadła czapka,
 Szewc ma czkawkę, a Prezeska nastąpiła nogą pieska.

– Gdzie jesteśmy? – W Ożarowie.
 Ten coś powie, ów coś powie i jedynie dwie paniusie,

Dwie paniusie, jak dwie trusie siedzą cicho w autobusie.

Mknie autobus w szybkim pędzie. – Czy Sochaczew prędko będzie?
Gdzie jesteśmy, czy pan nie wie? Ja wysiadam w Sochaczewie...

Wreszcie Łowicz. Krótki postój. – Wyjdź, i trochę się wyprostuj!
Przecież mówię, wstań Tytusie!! – Ruch się zrobił w autobusie.
Kto wysiada? Pan wysiada? Sąsiad pcha się na sąsiada.
W restauracji zamieszanie. Każdy chciałby zjeść śniadanie.
Tutaj kasjer z buchalterem zajadają bułki z serem,
Tam kelnera doktor wzywa, repatriant żąda piwa,
Tu herbata, tam herbata, jak szalony kelner lata.
Nagle – sygnał! I po chwili znowu wszyscy się stłoczyli.
Znów się zrobił ścisk nie lada,
Sąsiad pcha się na sąsiada: – Prędeż, prędeż niech pan wsiada! –

Znów autobus mknie po szosie warczy motor, jęczą osie,
Ludzie tłoczą się jak śledzie, a autobus jedzie, jedzie...
Było Głowno, będzie Ryków, pełno rozmów, kłótni, krzyków
I jedynie dwie paniusie siedzą cicho w autobusie.

Czas w podróży szybko schodzi. Widać już przedmieścia Łodzi,
Widać domy i kominy... Jeszcze tylko pół godziny.
Już ulice i tramwaje... I autobus wreszcie staje.
Znów się zrobił ścisk nie lada. Sąsiad pcha się na sąsiada:
Prędeż, prędeż pan wysiada?! Nie ma czasu do stracenia!!
Do widzenia! Do widzenia!!

LIST Z OBÓR

Józef Prutkowski

Ostatnie białe ślady śniegu
Wiosna oborska wytrze,
Krajobraz – jak dekoracja Kosińskiego.
Nie. Jednak brzydszy...

Sygnał czasu nadają koguty.
Wiosna! W to mi graj!
W kalendarzu – styczeń, w termometrze – luty,
A w sercu – maj.

Wielki Wóz na północ się prześlizgnął,
Niedźwiedzica ruszyła w pościg.

Dobrze jest właśnie w erze socjalizmu
Umierać po prostu z miłości.

INWOKACJA

Jeremi Przybora

Bez ciebie jestem tak smutny, jak kondukt w deszczu pod wiatr,
Bez ciebie jestem wyzuty z ochoty całej na świat.
Bez ciebie jestem nieładny, bez żadnej szansy u pań,
Bez ciebie jestem bezradny, jak piesek co wypadł z sań.
Bez ciebie jestem za krótki na długą drogę przez świat,
Bez ciebie jestem malutki i wytłuc może mnie grad.
Bez ciebie jestem tak nudny, jak akademie na cześć,
Bez ciebie jestem tak trudny, że trudno siebie mi znieść.
Bez ciebie jestem niepełny, jak czegoś ćwierć, albo pół,
Bez ciebie jestem zupełny balon, łachudra i wół.

Kimkolwiek jesteś – włóż na siebie coś i rusz,
Od stołu wstań, z imienin wyjdź, zrezygnuj z dań i przyjdź!

Przy tobie będę pogodny, bo skądbym smutek brać miał,
Przy tobie będę podobny strukturą torsu do skał.
Przy tobie będę upojny, jeżeli idzie o głos,
Przy tobie będę przystojny urodą silną jak cios.
Przy tobie będę subtelny, jak woń lubinu wśród pól,
Przy tobie będę tak dzielny, jak ten, co zginął nam król.
Przy tobie będę artystą, wzruszeniem artysty do łez,
Przy tobie będę z umysłu inteligentny jak bies.
Przy tobie w jednej osobie efebem będę ja, bądź poetą, mędrcom...

... A z kobiet, małą blondyną ty bądź!

Więc kim byś była, włóż na siebie coś i rusz.
Jeśliś we śnie – z pościeli wyjdź,
Przeciagnij się
I przyjdź!!....

PANI TWARDOWSKA

Adam Mickiewicz

Siedzą, piją lulki pałą, tańce, hulanka, swawola,
Ledwie karczmy nie rozwałą: – Cha, cha! Chi, chi! Hejże! Hola!

Twardowski siadł w końcu stoła, podparł się w boki jak basza,
– Hulaj dusza, hulaj – woła. Śmiesz, tumani, przestrasza.

Zołnierzowi, co grał zucha, wszystkich łaje i potraça
Świsnął szabą koło ucha: Już z żołnierza masz zająca!

Na patrona z trybunału, co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską po mału: Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szcutki, do łba przytknął trzy rureczki,
Cmonął “Cmok” i gdańskiej wódki wytoczył ze łba pół beczki.

Wtem, gdy wódkę pił z kielicha, kielich zaświstał, zazgrzytał,
Patrzy na dno: – Co u licha? Po coś tu, kumie, zawitał?

Diablik to był w wódce na dnie, istny Niemiec, sztuczka kusa,
Skłonił się gościom układnie, zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę, pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę i krogulcze ma paznokcie.

– A! Twardowski! Witam bracie! – To mówiąc bieży obcesem:
– Cóż to? Czyliż mnie nie znacie? Jestem Mefistofešem.

– Wszak ze mną-ś na Łysej Górze robił o duszę zapisy,
Cyrograf na byczej skórze podpisałeś ty i bisy

Miały słuchać twego rymu. Ty jak dwa lata przebiegą,
Miałeś pojechać do Rzymu, by cię tam porwać jak swego.

Już i siedem lat uciekło, cyrograf nadal nie służy,
Ty czarami dręcząc piekło, ani myślisz o podróży!

Ale zemsta, choć leniwa nagnała cię w nasze sieci:
Ta karczma Rzym się nazywa! Kładę areoszt na waszeci!! –

Twardowski ku drzwiom się kwapił na takie dictum acerbum;
Diabeł za kontusz ułapił: – A gdzie jest nobile verbum?!

Co tu począć, kusa rada, przyjdzie już nałożyć głowę.
Twardowski na koncept wpada i zadaje trudność nową.

– Patrz w kontrakt Mefistofilu, tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu, gdy przyjdiesz brać duszę moją

Będę miał prawo trzy razy zaprząć cię do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy musisz spełnić co do joty.

Patrz, oto jest karczmy godło, koń malowany na płótnie,
Ja chcę mu wskoczyć na siodło, a koń niech z kopyta utnie!

Skreć mi przy tym biczyk z piasku, żebym miał czym konia chłostać,
I wymuruj gmach w tym lasku, bym miał gdzie na popas zostać.

Gmach będzie z ziarenek orzecha, wysoki pod szczyt Krępaku,

Z bród żydowskich ma być strzecha, podbita nasieniem z maku.

Patrz oto na miarę ćwieczek: cal gruby, długi trzy cale,
W każde z makowych ziarneczek wbij mi takie trzy bratnale! –

Mefistofel duchem skoczy, konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy i już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa, próbuje podskoków, zwrotów
Stępa, galopuje, klusa, patrzy, aż i gmach już gotów.

– No wygrałeś panie bisie, lecz druga rzecz nie skończona:
Trzeba skapać się w tej misie, a to jest woda święcona! –

Diabeł kurczy się i krztusi, aż zimny pot na nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi. Skapał się biedak po szyję.

Wyleciał potem jak z procy, otrząsł się: – *Dbrum!* – parsknął raźnie:
– Teraz jesteś w naszej mocy! Najgorętsze-m odbył kaźnie! –

– Jeszcze jedno, będzie kwita, zaraz pęknie moc czartowska:
Patrzaj, oto jest kobita, moja żoneczka, Twardowska.

Ja na rok u Belzebuba przyjmę za ciebie mieszkanie,
Niech przez ten rok moja luba z tobą jak z mężem zostanie!

Przysiąż jej miłość, szcunek i posłuszeństwo bez granic,
Złamiesz choć jeden warunek, już cała ugoda na nic! –

Diabeł do niego pół ucha, pół oka zwrócił do samki,
Niby patrzy, niby słucha, tymczasem – już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza, od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza, dotąd jak czmycha, tak czmycha...

Wyjątek ze zbioru “PEGAZ DĘBA”

Julian Tuwim

Biegłaś ulicą, wiatr zamiatał liśćmi
Za twą postacią zachciało się iść mi.

Mrugnęłaś oczkiem i główką kiwnęłaś
Dając przestroję: Tylko za mną nie łaź!

Lecz ja wzruszony pobiegłem jak wariat
Bo mi moją duszę kaliś straszny żar jadł

I taką we wnętrzu czułem wielką miłość,
Jakby mi Amor w serce swoją wbił ość.

Klęknąć na ziemię chciałem w tych zapędach
I choćby domu na mnie zwałił się dach...
Obudziłabyś nawet serce martwe,
Bo taki dziwny mają oczy czar twe!

Ty zaś mą widząc niekłamaną radość
Rzekłaś: – Podoba mi się postać twa dość!
Dłoń mi podałaś. Ja ją szybko chwytam,
Gniotę całuję, duszę... A co mi tam!!
W zachwycie szepczę: – O ty moje Bóstwo!
I znowu rękę niosę do mych ust twą...

A gdy już węzeł nas związał sympatii
Odpiełaś cudny z twoich włosów kwiat i
Podałaś mi go. Ja kwiat chwytam dłońmi,
Ty swoją głowę złożyłaś na skroń mi...

Książd wkrótce wiążac nas dozgonnym węzłem
Kazał dzielić się dobrem i dzielić się złem....

Odtąd prawdziwe zabłysło mi szczęście.....

O losie, losie, niechaj kopnie gęś cię!!!!

CIESZĄ MNIE MOJE RADOŚCI

Marian Żalucki

Cieszą mnie moje radości,
Martwią mnie moje troski...
Jednym słowem, do siebie
Mam stosunek ojcowski...
Gdy mi nieodpowiednią
Wyda się jakaś dziewczyna –
Przestrzegam siebie przed nią,
Jak ojciec syna:

– Ojczyznę kochaj i pracę!
Na co ci teraz dziewucha?...

I nigdy na tym nie tracę,
Bo syn ojca nie słucha!

ŻURAW

Jan Brzechwa

Smutno było żurawiowi, że samotnie ryby łąwi.
Patrzy – czapla na wysepce wdzięcznie z błota wodę chłepce.
Rzecz co niej zachwycony:
– Piękna czaplo, szukam żony, będę kochał ciebie, wierz mi,
Więc czempredzej się pobierzmy!

Czapla piórka swe poprawia:
– Nie chcę męża mieć żurawia!

Poszedł żuraw obrażony.
– Trudno, będę żyć bez żony!

A już czapla myśli sobie:
– Czy właściwie dobrze robię? Skoro żuraw tak namawia chyba wyjdę za żurawia!

W piękne piórka się ubrała, do żurawia poczłapała.
– Przyszłam spełnić twe życzenie!
– Teraz ja się nie ożenię! Niepotrzebnie pani papła, żegnam panią pani Czapla!

Poszedł żuraw obrażony.
– Trudno, będę żyć bez żony...

I znów czapla myśli sobie:
– Czy właściwie dobrze robię? Żuraw prośby swe ponawia, chyba wyjdę za żurawia!
W piękne piórka się ubrała do żurawia poczłapała.

Tak już chodzą lata długie, jedno chce, to nie chce drugie,
Chodzą wciąż tą samą drogą, ale pobrać się nie mogą.

NA CO CI TO, KOBIE TO?!

(Autor zapomniany...)

Nieszczęsna Halko!!!
Byłaś ogniska domowego westalką,
Byłaś natchnieniem malarza, poety...
Najwięksi geniusze opiewali kobiety.
Byłaś krolową, wampem, aniołem,
Mężczyźni przed tobą kornie bili czołem –
I byli w twojej władzy – a zatem
Rządziłaś światem.

A teraz co, a teraz jak?!

Teraz ci lepiej? A dobrze ci tak!!

Czy ci się teraz zdarza być natchnieniem malarza?
A jeśli już nawet dojdzie do tego,
To idź się zobacz u Dunikowskiego!
Zobacz jak twój czar maluje Zenar...
A w poezji, moja luba,
“Chwała krowom!” – pisze Kubiak.
Czy cię kto adoruje? Czy cię kto konwojuje?
Czy ktoś na randki z drzeniem serca chodzi
I czeka w niecierpliwości – czy przyjdiesz czy nie...?
Wiadomo, że przyjdzie, wiadomo, że chce!

Na co ci to KOBIEETO!!!

Na co babskie pokolenie chciało równouprawnienie?!!
Czy byłaś nieszczęśliwa, czy było ci źle?
Wszak byłaś tylko po to, aby kochać cię!!!

Byłaś słodką wyderką,
Mąż kupił ci futerko,
Bo mąż był jak baranek.
A jak nie kupił mąż, to kupił kochanek.
Jeździłaś nad morze, na narty co rok
I byłaś szczęśliwa i mąż miał w domu spokój.

I tak rządziłaś światem.
Historia wie o tym.
– Bo dzidzia jest mała i dzidzia tak chce
A jak dzidzi się sprzeciwi, to będzie bieda, bo “dzidzia nie da”... –
I tak jedna Dzidzia mogła więcej,
Niż dziś w Lidze Kobiet sto tysięcy!

Teraz od rana jesteś zdenerwowana,
Od świtu pracujesz niewyspana,
Z biura przychodzisz przepracowana.

Bo dziś wszystkich zachwyca Kobieta - Przodownica.

Kobieta w hucie,
Kobieta na drucie,
Kobieta orze,
Jeździ na traktorze,
A na rogu się wygina kobieta – glina.

Po ulicy dąży pułkownik w ciąży
Z brzuszkiem nadętym, w mundurze rozpiętym.
A przechodzień staje i pyta zdziwiony:
– Pułkownik też daje?! Dziwne to zwyczaje!

I o to walczyłyście kobiety, marny pirz
Że pracujecie w biurze, i po biurze tyż?!
I to jest wasza zdobycz i to jest wasz łup,
Że jak chcesz mieć futerko – to “sama sobie kup!”

To męska robota, to męskie nasienie
Wymyśliło dla was równouprawienie!
Razem ze stworami – powtarzam za poetą –
Nie byłaś nigdy “LUDŹMI”, a przestałaś być kobietą!
To oni się wyzwolili spod jarzma kobiety,,
I oni nasze miejsce, a my ich zajmujemy:
Kobieta będzie nieść chłopa do łóżka
I najczulsze słowa szeptać mu do uszka:
– Cio dzidzius tak słaby i cio dzidzius zje?
– Bo Dzidzius jest mali i Dzidzius tak chce...–

ODROBINA MĘŻCZYZNY

Jeremi Przybora

Myślę nie raz i nie dwa:
Cóż po ciebie jak jedwab,
Cóż po talii
Jak dalii łodyga...
Cóż po kuchni mej świetnej
I duszy szlachetnej,
Gdy na jednym, jedynym
Mi zbywa.
 Odrobina mężczyzny na codzień
 Jakże życia zmieniałaby tło,
 Z odrobiną mężczyzny na codzień
 Jakże wszystko inaczej by szło.
 Mógłby nawet mnie nie brać na ręce,
 Gdyby na to, on nie miał sił,
 Byle rano zaśpiewał w łazience
 Lubił rosół i tkliwy on był.

Zanim spojrzysz na panów
Ty się wszakże zastanów
I od wzrostu poprostu
Zacznij rzecz.
Nadmiar mięśni i kości
Czyż nie spłyci miłości?
Czy do chuci
Uczuć ci nie zniży?
 Odrobina mężczyzny na codzień,
 Mały męski akcencik czy ton,

Odrobina mężczyzny na codzień
Od przesytu uchroni złych stron.
Przenocujesz w niedużej go wnęce.
Dniem zaś w biurze on będzie tkwił,
Kilogramów pięćdziesiąt, nie więcej,
Które strzepniesz,
Gdy znudzą, jak pył.

PLANIŚCI

(Autor zapomniany...)

Kochał bez planu planista planistkę.
Zakwitła miłość niewinna i czysta.
On skromny, ona pełna walorów
Według najnowszych planowanych wzorów.
Majątek stały i składany miała,
Kapitałnych remontów nie wymagała.
Prócz tego plik zalet cennych
Oszacowanych w cenach niezmiennych.
Po pewnym czasie, jak bywa w planie,
Przed urzędnikiem w Cywilnym Stanie
Złożyli sobie śluby wierności.
Zaczął się drugi akt ich miłości.
Wnet też sposobem gospodarczym razem
Skombinowali mieszkanie z gazem.
W ramach limitu finansowego
Nabyli szafę i łóżko do tego.
Z dnia na dzień rosła stopa życiowa,
Podstawa zgody, podstawa bytowa.
Tak kształtowała się miłość dozgonna:
On był wydajny, a ona chłonna.
Współzawodnictwo w dom wprowadzili,
Proces wytwórczy wnet usprawnili,
Robota w toku szła według normy,
Wskazując cechy wybitnej formy.
Długi czas życia pełen pogody
Zaczęła zaciemniać chmurka niezgody:
On wpadał w dziwny nerwowy rozstrój,
Wprowadzać zaczął planowy postój.
Wskaźnik opadał, współczynnik malał,
Normatyw w czasie stale nawalał.
Ona mu robi często wymówki
Dlaczego przerszedł z akordu na dniówki.
Radzi, by siły swe skumulował,
By się usprawnił, doinwestował...
Nic nie pomaga, choć stale gada –

Jemu współczynnik z dnia na dzień spada.
Ona ciekawa szuka przyczyny,
Stara się dociec gdzie sedno winy...
Spostrzegła wreszcie w badań efekcie,
Że... inwestował w innym obiekcie.

JAK NIE SPRZEDAŁEM DUSZY

Marian Żalucki

Kochałem jedną... Na Prądniku.
Srebrzysty głosik miała...
Szeptalem: – Ptaszku mój... Słowiku!...
Jesienią odleciała.

Poznałem inną znów... W Sopocie.
Niebrzydka, miła, hoża...
O niedostępnej niemal cnocie,
Za to z dostępem do morza.
Niestety. Związała po urlopie.
Ot tak. Bez pożegnania.
Myślałem już, że się utopię!
Tylko mi lekarz zabrania.

I tak zbierałem wciąż dowody,
Gdym tylko szedł za serca głosem,
Że brak widocznie mi urody,
Albo zbyt wiele mam już wiosen...

– No cóż? Chyba się odmłodzić muszę!!
– Lecz jak?
Pytałem wielu osób.
Mówili: – Sprzedaj diabłu duszę; jak dotąd to najlepszy sposób!

Dusza – dziś towar niechodliwy...
Lecz znam się z pewnym detalistą z prywatnej inicjatywy.
Nazywa się Mefisto...
– Lecz jak go spotkać?
– Nocną porą, najlepiej chyba przy teatrze.
(Tam mnie najczęściej diabli biorą, kiedy na nasze sztuki patrzą...)

Stanąłem więc na samym rogu przez sto ponurych myśli ścigan...
– Kto idzie, diabeł?!
– Tak.
– Chwała Bogu! Myślałem już, że huligan.

Diabeł uchylił kapelusza:

– Co jest do zbycia? –

– Dusza. –

– Eee! – machnął ręką. (On nie głupi, raz już naraził się na wstyd, Kiedy to zamiast duszy kupił “Świadomość określona przed byt”... Lucyfer tak się zeźlił wściekle, że, proszę państwa, piekło w Piekło!)

– Lecz moja – mówię – proszę Szatana,

Dusza po wojnie nie używana, czysta, świetlana, żadna lipa...

Sprzedam ją panu tanio.

Młodość poproszę za nią i urodę Gerarda Philipe’a. –

– Philipe’a?! – wrzasnął – Jeszcze czego! O, wymagania ma pan duże!

– Proszę, urodę K. Szpalskiego za darmo panu służę!

– Szpalskiego – rzekłem – też mi zamiana, dziękuję za taki “Urok Szatana”! –

– Zresztą Mefisto, nie pleć bzdur, daj czego chcę Szatanie! –

I już miał dać, wtem zapiał kur, więc skończył urzędowanie.

Lecz chociaż duszy mej nie nabył,

Tak rąbnął mnie, żem machnął salto.

Wogóle jakiś dziwny diabeł:

Zamiast duszy – wziął palto...

GRAM W TOTKA

Marian Załucki

Nie mogłem pozbyć się tego piętna,
Wstyd było spojrzeć na ciocię Florcię:
Cała rodzina inteligentna,
Tylko ja nie znam się na sporcie.

Nawet mój synek

Co w ósmej jest wiośnie,

– Tata – mi mówił –

– Co z taty wyrośnie?!

– Chodź tata ze mną raz na Garbarnię, zobacz co korner, co skrzydło,

Może się tata trochę rozgarnie, bo pochodzenie mi zbrzydło!

Słowem, jeździli mi po głowie, wszyscy mnie mieli za wyrodka.

Aż rzekłem:

Trudno, sport to zdrowie!

Rodzino, gramy w Totka!!

Ciotka jako maskotka, syn jako spec,
A ja tak sobie – pour la hec.

Jakby nas natchnął jakiś duch...
Synek w ekstazie darł się
– Tata!!
– Stawiaj na Wisłę!
– Stawiaj na Ruch!!

A tata stawiał na wariata,
Każdemu, czym chata bogata.
Krzyżyki wskoś, i wszere, i wzdłuż...
Jak grabarz opętany szalem.
Potem – na pocztę...
Ciach – i już.

Przyszła niedziela...

I wygrałem!!

Przyznacie – sukces niebywały
Tak wszystko przeczuć bez omyłki,
Żeby krzyżyki się zgadzały
Na cmentarzysku naszej piłki!

Od dzisiaj, sport – Obywatele!
Moja specjalność, można rzec.
Bo spece wiedzą tak niewiele,
Że kto nic nie wie – większy spec!

No cóż... Nie myślcie jednak sobie,
Żem w dumę, w zachwytyt wpadł cielęcy.
Nie!!... Raczej martwię się co zrobić,
Gdy przyślą mi te sto tysięcy...
Z taką gotówką – daję słowo –
Sam sobie będę obcy klasowo!
Co synek mój w ankiecie zbuja,
Gdy będzie ojca miał burżuja?

Słowem, tak wielką mam obawę,
By się nie stoczyć przez ten dochód,
Że chyba wszystko dam
Na Warszawę!!...

Albo na inny samochód.

HYMN ROMKÓW

Agnieszka Muszyńska

Szkołą wręcz nie warto zawracać se głowy,
Prus to sama chała, Orzeszkowa – dno.

Dla nas lekturą jest Przegląd Sportowy –
Sztuka i literatura, to jest właśnie to!

W nim podziwiać możesz atystyczny opis
Jak Latocha Kostce wbił do budy piłkę,
Jak Gortat z Rutkowskim dali boksu popis
I jak z Ruchu szczypiornistki wygrały przez pomyłkę.

Precz z wojnami Rzymian zawracanie głowy,
Czyż warto kuć starocie?! To chała i dno!!

Dla nas źródłem wiedzy jest Przegląd Sportowy –
Codzień najciekawszych informacji sto.

Że Celtic po raz ósmy został mistrzem Szkocji,
Że sprinterzy z Szombierek wykazują zapał,
Że Mauger dostarczył nam kupę emocji,
Że Oślizło strzelił, a Gomola złapał.

Że na drugim froncie Śląsk zwiększył przewagę,
Że Prasek był najszybszy na Piastowskim szlaku,
I że Dragan nie wszedł, bo przekroczył wagę,

A juniorzy w Mannheim ruszyli do ataku.
Że maszyny Gorzowian na pełnych obrotach
(Głęb myśli, że tokarki – tu o ŻUŻEL chodzi!!!)
Że Komar tak jak miotał teraz już nie miota,
A w Pucharze Davisa zwyciężyli młodzi.

Że w meczu ekstraklasy, w rundzie rewanżowej
Nawet Maszczyk podchodził pod bramkę wojskowych!
Że zły sędzia Trełę ocenił surowiej,
A Bachledda nabawił się znów kontuzji nowych.

To jest wiedza nasza, to jest wiedza, która
Stanowi treść życia, co porusza nas!!

A Przegląd Sportowy – wyłączna lektura

Od świtu do zmierzchu wypełnia nam czas.

My sami tośmy wyżsi dużo ponad to
Aby sport uprawiać. Też coś?! Męczyć się?!

To podobno wymaga wyrzeczeń za sto...
Lepiej nic nie robić, zamiast robić źle!

W szkole lekcje – drętwa nuda,
Wciąż trują o glonach, to o prawie lennym...

Żeby tak dyskusja, czy sie Legii uda
Wyeliminować Gwardię w półmetku jesiennym....?

Żeby tak kiedyś, miast wkuwać życiorysy
Jakichś drętwych wapniaków, co sławni podobno,
Lepiej by zrobili śledząc dziś zarysy
Kariery sportowca – drogę życia godną!!

Deyna – obunożny. Prawdziwy modelarz...
To jest model godny do naśladowania!
Lubański – autorytet. Wyciąga on nieraz
I pięćdziesiąt patyków ze swego kopania!!
A tu starzy trują i kładą do głowy,
Że wyłącznie nauką unikniesz wszystkich barier...?
Chała!! Dla nas wyrocznią jest PRZEGLĄD SPORTOWY!
On wskazuje drogę! ALMANACH WIELKICH KARIER!!

Warszawa, 1974

Fragment

KWIATÓW POLSKICH...

Julian Tuwim

.... A polski bez jak pachniał w maju,
W Alejach i w Ogrodzie Saskim,
W koszach, na rogu i w tramwaju,
Gdy z Bielan wracał lud warszawski!

Szofer nim mał swą taksówkę
Frajerów wioząc na majówkę.
Na trawkie, piwko i muzykie;
Gnał na sto jeden, na rezykie.
A wiózł śmietankie towarzyskie:
Kuchtę Walercię, tą ze Śliskiej,
Burakowszczaka z Czerniakowskiej
I Józia Gwizdalskiego z Wolskiej.
Byli spocone i zziajane
I wszystka trzech – w drebiezgi pijane.

I jak jechali bez Pułaskie
Fordziak w latarnię wyrznął z trzaskiem.
I przybiegł (tyż pod gazem krzynkie)
Flimon szarpany za podpinkie.
Szofer czarował go nachalnie,
Że on zapychał leguralnie,
I... “Niech ja skonam! Niech ja skonam!
(Zawsze dwa razy, rzecz stwierdzona)
Skoro jeżeli znakiem tego
Nie jest to wina bzu danego,
Którén cholernie się uwietrzniał
I mocny zapach skuteczniał;
Ciut, ciut mnie z niego zamroczyło
I właśnie bez to się zdarzyło”.

Policjant mówił: – Ja nie frajer

I pan nie weźmiesz mnie na bajer,
Pan się zatrudniasz alkoholem!
I nagle krzyk: – To ja chromołą!
I – Nie bądź pan tu za szemrany!
A kuchta w pisk: – Zabiją! Rany!
A Józio w pysk, a Józia w morde,
I już w powietrzu pachnie mordem...

I wszyscy do komisariatu.

A z winy – majowego kwiatu....

SWOJSKIE STWORZENIE ŚWIATA

Marian Żalucki

Świat mi się całkiem nie podoba:
W kosmosie gospodarka do kitu...
Gwiazdy się palą jak okrągła doba –
Nawet w godzinie szczytu!

– Na Marsa – namawiają – polec!
A któżby głowę pchał pod nóż?
Na Mlecznej Drodze pewnie gołoledź,
Bo znów nie posypał Anioł Stróż!...
Burzliwe wiosny, mokre sierpień...
Słowem, gdzie spojrzę – pełno wad!

Lecz na myśl jedną skóra aż cierpień:
Co by to było, co by to było,
Gdyby tak Polak stworzył świat?!

Gdyby tak Polak – trafem jakim,
Nasz rodak, z wąsem w kształcie wiechcia!
Lub... gdyby Pan Bóg był Polakiem...
Nie!
Tego nawet Bóg by nie chciał!

Po prostu, przed miliardami lat,
Gdyby bieg rzeczy zmianie uległ
I gdyby Polak stworzył świat...
O – rany Julek!

Kulą nie byłaby ta Ziemia!
Nie byłby kulą księżyc blade...
Sześcianiem?... Nie wiem,
Jedno wiem ja:

Bez kantów – nie dałoby rady!

Spitsbergen byłby – gdzie Kalkuta
Alpy na głowie by stały,
Włochy by miały może kształt buta,
Lecz pewnie o numer za mały.

Tylko przez Polskę płynęłaby wartko
Szeroka Wisła... z czewoną kartką!
Nad nią cytryny szumiałyby z cicha,
Na każdej gałązce – zagrycha!

I gdyby już była gotowa ta rzeka,
Polak by chyba dłużej nie zwlekał
I by się wreszcie (cieszcicie się cieszcicie!)
Wziął do stworzenia Człowieka!

Nie powiem, jak byśmy wyglądali...
(Za dużo dorosłych na sali!)
To nawet głupstwo już, że Adam
Pomieszałby mu się z Ewą,
Bo i tak (ja się z wami zakładam)
Co ważniejsze – poszłoby na lewo!

... Tyle, że w bezhołowiu ciał,
Przypadek zrządził by łaskawie,
Że przez Polkę może bym miał
Plecy – nie tu,
Lecz w Warszawie!

BAJKA O PIJANYM SOLITERZE

Janusz Minkiewicz

Precz ze starymi bajkami, ja w takie bajki nie wierzę!
Lepiej poznajcie współczesną bajkę o mym soliterze.

Pewnego dnia w mym brzuchu zamieszkał sprężysty soliter
I aby było do rymu, układał się w nim na kształt liter.

Jak duże “S” się wykręcał, jak “W” wyginał w żołądku.
Gimnastykował się zwykle w alfabetycznym porządku.

Pozatem czuł się w mym brzuchu jak w atmosferze Londynu,
Tyle tam było mgieł różnych, a przede wszystkim splinu.

Gdyby ktoś z państwa zamknięty znalazł się w smutnym mym brzuchu

Zobaczyłby jak tam trudno rozrywek zażywać i ruchu.

Nie dziwcie się więc, że soliter swą samotnością znudzony,
Zapraǳął dla siebie gorąco kochanki lub narzeczonej.

Sprawa ta nie jest tak prosta, jakby sie laikom zdawało:
Soliter mnoży się dzieląc na kilka części swe ciało.

– Ha! Nie ma rady! – bohater nasz westchnął z pewną przykrością
I z nonszalanckim rozmachem na dwie połowy się rozciął.
Potem wyróżnił z tych połów swą połowicę i siebie,
Wziął ślub z nią i czuł się już odtąd w mym brzuchu z małżonką jak w niebie.

Lecz potem żyli ze sobą z jednego tylko powodu,
Że w brzuchu mym nie ma biskupów, a co za tym idzie – rozvodu.

Mąż się domagał potomstwa – duch rozrodczości mu świecił,
A ona była świadoma i bardzo nie chciała mieć dzieci.

Nic więc dziwnego, że kiedyś po złej (mea culpa) kolacji
Między zwaśnionym stadłem doszło do separacji.

Soliter nasz zawiedziony zapal swój płciowy ostudził,
W ciemnościach kiszek się ukrył i znowu samotnie się nudził.

Aż kiedyś, kandydat na ojca, pod wpływem smacznego piwka,
Żonę na części rozerwał, krzycząc: – Nareszcie rozrywka!!

Któż jego radość opisze, kiedy w ciemnościach żołądka
Ujrzał, że z części małżonki tworzą się – soliterzątka!!

– Dzieci, nareszcie mam dzieci!! – ojcowstwa się darł teoretyk.
– Pewnie coś chcecie przekąsić? – I dał im dwa smaczne kotlety.

Dzieci, a było ich sporo, cały mój obiad zeżarły,
Ale się nie nasyciły i – Papu, papu!! – się darty.

Choć sam soliter od dawna był nie na żarty nażarty,
Wciąż o specjały prosiły jego nieznośne bękarty.

– Nie chcemy – wołały – śpinaku! Nie chcemy klakowskiej kielbasy!
– Żądamy dużo witamin, plosimy o ananasy!

Nie jadłem już dań zwyczajnych, jak kasza, kartofle czy grysik,
Bo burza szalała w żołądku, gdy dzieci zaczęły kaprysić.

W końcu spostrzegli znajomi, że z dniem każdym chudnę i blednę,
To wszystko dlatego, że dzieci wciąż były bardzo wybredne.

Soliter błagał mnie codzień: – Zmień, proszę znowu swą kuchnię,
Bo od tych ciągłych grymasów aż głowa w twym brzuchu mi puchnie!

A dzieci okrutne i podłe, gdy się najadły łakoci,
Po wymęczonym wym brzuchu płasać zaczęły i psocić.

A kiedy zmęczone zabawą na brzuskach zaczęły się słaniać,
Wówczas najgorsze się stało: Zaczęły zadawać pytania.

– Dlaczego nie mamy Mamy? – Dlaczego nie dają nam klusek?
– Czy my tu za darmo mieszkamy? – I czyj to, tatusiu, jest brzusek?

We wściekłość wpadł mój sublokator, w rozpacz obłądną i czarną.
Ja także męki znosiłem. Aż wreszcie szal nas ogarnął.

Ojciec swe dzieci za karę w wątrobie zamknął na kłódkę
I żeby smutek swój zabić – poszliśmy razem na wódkę.

Siedliśmy przy czystej i ginie w wytwornym stołecznym lokalu
I pijąc – ja pierwszy, on drugi – wnet pozbyliśmy się żalu.

Po kilku setkach soliter rzekł do mnie lekko zawiany:
– A może teraz pójdziemy gdzieś się zabawić, kochany?

Więc poszliśmy razem na dancing. Podano likiery, szampiter.
Tańczyłem z dziwką, a we mnie – tańczył pijany soliter.

Nazajutrz rano po orgii dorożką wracaliśmy konną,
Ślubując sobie nawzajem miłość i wierność dozgonną.

I odtąd mieliśmy wspólne pożycia naszego cele:
Codziennie pić wódkę i zawsze żyć z sobą jak przyjaciele.

I tak im ciaśniej spleceni w rynsztoku leżeliśmy plackiem,
Tym mocniej nas jednoczyło wspólne delirium pijackie.

A dzieci w wątrobie zamknięte na śmierć zamorzyliśmy głodem.
Pogrzeb miały niesławny: Po prostu spuściło się wodę.

Choć dzisiaj na solitera są środki pewne i tanie,
Przysięgam, ten mój przyjaciel na zawsze w wym brzuchu zostanie!

Pewien, że odtąd nie dzieli nas żaden sporny dylemat
Spieszę zakończyć ten długi, jak mój soliter, poemat.

Pragnę jedynie na końcu sens bajki wyjaśnić po krótko:
Nawet soliter się stanie twym przyjacielem przy wódce!

KRASNOLUDEK

Marian Żalucki

Gdy raz wypilem parę wódek
Zjawił się u mnie
Krasnoludek

Spojrzał na flaszkę na mym stole
Na pięciogwiazdną aureolę
(Co to pięć gwiazdek – wam izwiestno)
I gorzko westchnął:

O smutku, coś mą duszę zaległ!...
Piją furmani i poeci,
A gdzie się urznąć ma krasnalek?...
W bajce dla dzieci?!...

Siadł więc na stole pełen smutku
I pił – pokorny, skromny, cichy
Twierdząc, że jest coś w krasnoludku,
Iż czasem musi!...
Bez zagrychy.

Niekiedy mruknął:
– Dobra... Chłodna... –
I mruczając wypił flaszkę do dna.

Potem, choć wzrostu miał trzy cale
Zaczął rozrabiać niebywale.

Napisał sosem na serwecie:
“Krasnoludki są na świecie!”

Zademonstrował rock and roll,
Rozbił lustro, krzycząc “Gol!”
Spalił dywan papierosem
Wannę zatkał kabanosem,
Ściągnął obrus,
Szlanki stłukł,
Mnie samego zwałił z nóg
I podniawszy dziki krzyk,
Zbudził żonę, po czym znikł...

A żona widząc t a k i e skutki
Dalej nie wierzy w krasnoludki!...

ETIUDA POLSKA NA Ż, RZ, SZ i CZ

Luwik Jerzy Kern

Chociaż żuczek rzecz maluczka
Mnie urzeka życie żuczka.

Czy w Przysusze, czy też w Pszczynie
Życie żuczka rzeżko płynie.

Byczo jest mu i przytulnie
W przedwiosenny czas szczególnie.

Szepcze w żytku lub pszenicze
Śliczne rzeczy swej księżniczce.

Staszczą jej na przykład z dali
Maku wór na sznur koralu.

Albo rzuca gestem szczodrym
Pod jej nóżki chabrem modrym.

– Żuczku, żuczku, co chcesz za to?
– Być ewentualnie tatą.

Z tego wielka jest nauczka,
Choć sam żuczek – rzecz maluczka.

POŻEGNANIE (ze zbioru “PEGAZ DĘBA”)

Julian Tuwim

Wieczór pogodny zapadał już
Kiedy ogrodu kroczyłem wzdłuż.
I choć złowrogo zaszczeakał pies
Ja przeskoczyłem śmiało mur przez.

Z cichym westchnieniem, w oku ze łzą
Siedziała ławkę oparta o,
Czekała na mnie kochanka ma.
Księżyc zza chmury zabłysnął a.

– Ach jesteś, luby, nareszcie tu!
Zawoła ona biegnąc mnie ku.

– Ach, jakże długo czekam,
Na płot spoglądam chyba godziny od!

– O moja droga, jam spieszył się,
Lecz wyrwać z domu się mogłem nie,
I rozpacz za mną goniła w ślad,
Bo ciężki wisi los nami nad.

Bo pomyśl tylko, o luba ma,
Muszę wyjechać długi czas na
I choćbym z drogi chciał wrócić wnet,
Nie wrócę pewnie jak rokiem przed...

Tu milknie muza, bo znowu ja
Ostrożnie mur się wdrapałem na
I choć złowrogo skowyczał pies,
Poszedłem w drogę przeszkody bez.

TATAR

Janusz Minkiewicz

Pewien Tatar miał katar,
A Katarzyna, żona Tatarzyna
Miała z nim małego syna.
Tatar-tata obowiązki spełniał kata.
Bał się kat zakatarzony Katarzyny kata żony!

Raz, gdy czytał Tatar akty
Oślepl, dostał katarakty.
Więc pobiegły Tatarzyny do katowej Katarzyny
Referując sprawę tak-to:
– Kat ma katar z kataraktą!

Katarzyna, żona kata
Pędzi więc do kata brata.
Brat ten miał wesoły cmentarz,
Kat sprowadzał mu inwentarz.
Brata kata katakumby
Rozbrzmiewały dźwiękiem rumby.
Wkrąg słuchały Tatarzynki
Brata kata katarynki.

Katarzynę przyjął szwagier
Grając właśnie nowy szlagier.
Katarzyna wzięła brata
I pobiegła z nim do kata.

Szwagier rzekł tak katu-tacie:
Bracie-kacie, czemu łkacie?
– Lud pogardza – rzekł do brata
– Mymi czynnościami kata!
Mówiąc: – Niech oceni plabs je!
Wpadł kat-tata w katalepsję.
Umarł. Syn rzekł: – Co u kata,
Kat katafalk już wygniata?!

Sens tragiczny ma ta strofa:
Taka kata katastrofa!!

FRASZKI

Marian Żalucki

Świerszcz i cywilizacja

Świerszcz raz miał pragnienie jedno jedyne:
Chciał sobie zrobić “Ćwir, Ćwir” za kominem...
A tutaj, do cholery – same kaloryfery!

Dążymy

Ku demokracji zupełnej dążymy uparcie i śmiało.
Wszyscy powinni być równi! Niektórym już się udało.

Na granicy

Zajrzeli do kufrów,
Zajrzeki do waliz.
Nie zajrzeli do d...,
A tam mam socjalizm!

MÓL

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

Mól ogląda mód żurnale
I podziwia suknie, szale,
Pomrukując: – Zobaczymy
Co będziemy jeść tej zimy!...

SJAMSKIE KOTY

Magdalena Samozwaniec

Pięknej pani uwodziciel
Przyrzekł przesłać sjamskie kicie.
Gdy ta kotki otrzymała
Krzyczy z gniewu płonąc cała:
– Co, kocięta nie zrosnięte?!!
– Ładnie sjamskie! Won z prezentem!!

GAMA GASTRONOMICZNA NA CZEŚĆ POMIDORÓW

Janusz Minkiewicz

Zawsze jestem skory
Jeść pomidory.
Atoli,
Nie znoszę fasoli.

Taka wielka jest ta rolla
Pomidora dla mnie, że
Z pomi - do - re - mi - fa - sol - la
Nie podziała na mnie źle!

REFLEKSJA PATRIOTY

Jerzy Paczkowski

Są dwa poważne powody,
Dla których Polska mi zbrzydła:
Za dużo święconej wody,
Za mało zwykłego mydła!

FRASZKI

Jan Sztaudynger

Myjcie się dziewczyny,
Bo nie znacie dnia ani godziny!

*

Mała mi się spodobała,

Marzę już o jej upadku...
A wtem ona, cmok mnie w rękę:
– Bardzoście przyjemni, dziadku! –

*

Trzeba uwodzić mężów przyjaciółkom
Aby zacieśniać przyjacielskie kółko!

*

Para ud
Godna ód.

*

Na stare lata
Na młode lata.

*

Skubał ją gdzie spotkał.
Rzecz niezrozumiała,
Że choć to on skubał,
Ona go oskubała.

*

Zawsze kobieta więcej czuje wstrętów
Do opieszałych, niżli do natrętów.

*

Minęła młodość i uroda.
Została reszta.
Szkoda!

*

Każdy mężczyzna w Europie czy Azji
Wierny jest żonie do pierwszej okazji.

*

Tak bardzo żonę szanował,
Że aż inne fatygował.

*

Na to, w brydża musiał grywać, biedny,
Aby raz chociaż
Mógł leżeć bez jednej!

*

Motyle...
O tyle
O ile.

*

Życie i czas powoli
Robi z ludzi ramoli.

*

Z niejednego znać oblicza,
Że nie myśli, lecz oblicza.

*

– Nie miej cudzych bogów
Prócz kobiecych nogów.
– Obmawiaj bliźnich ile chcesz,
Oni obmówią ciebie też.
– Nie kradnij – chyba dużo,
To jeszcze cię obsłużą.
– Nie zabijaj... czasu,
Bo szkoda czasu i atłasu.
– Nie pożądam żony bliźniego swego.
Rzecz rozumniejsza pożądać córkę jego,
Bo młodsza i ładniejsza.

ROK DWUTYSIĘCZNY

Marian Żalucki

Przepraszam bardzo, że ciut-ciut
Zanadto myślą sięgam wprzod —

Lecz sprawa w tym się głównie streszcza,
Że odkąd zmarł Mickiewicz Adam,
To u nas brak w poezji wieszczą.
Więc może ja się nadam...

Ten przyszły,
Nowy, piękny świat
Wy sobie tylko wyobraźcie:
My starsi o kilkadziesiąt lat —
Kobiety o kilkanaście!
Epoka nowa.
Atomowa.

A technika tak się rozwinie,
Że nawet będzie słycać słowa
Na polskim filmie w kinie!

A w restauracjach —
Bez przesady —
Też całkiem nowe obyczaje:

Zamiast kelnerów — automaty,
Co same mówią:
“Kolega podaje!”

Od dawna telewizja wkroczy
Do wszystkich mieszkań zwykłych ludzi,
Żeby widzieli na własne oczy,
Kto ich tak w radio nudzi...

A w medycynie jakie cuda!
Gdzie tylko człowiek się nie uda —
Wszędzie lekarskich szyldów szereg:
“WYMIANA SERCA,
WĄTROBY I NEREK!
NA POCZEKANIU!
NA ŻYCZENIE!”

Sam dam w gazecie ogłoszenie,
Które tę będzie miało treść:
*“Unieważniam serce skradzione
przez pewną piękną blondynkę w rakiemie Nr 6.”*

I wstawię sobie nowe,
Prościutko ze skrzynki...
Dla jakiejś innej blondynki!

Słowem,
Techniczny postęp wszędzie,
Wygoda na każdym kroku —
Sam nie wiem czego nie będzie
W tym 2000-cznym roku...
Wprost wyobraźnią nie ogarnę:
Podróże międzyplanetarne!
Nowa rubryka w ankiecie:
“Czy ma krewnych na innej planecie?”
Astronawigacja!
Automatyzacja!

Nareszcie spadnie nam z głowy
Ten cały problem lokalowy:
Naciśniesz guzik —
Masz mieszkanie!

Każdy — kto wniesie podanie,
Taki guzik dostanie.

KREWETKA, KRAWATKA, SERWETKA, SERWATKA I SERWANTKA

Agnieszka Muszyńska

Muszla perłowa z krewetką w krawatce
Mieszkały zgodnie w antycznej serwantce.
Kwiatki z opali krewetkę zdobyły.
Nefryt z malachitem girlandy tworzyły
Wokół turkusowych oczu tej krewetki.
A obok z szafiru stały dwie korwetki,
Gdzie koła – szmaragdy, latarnie – brylanty,
Klasyczna robota i bezcenny antyk.
Krewetka z koralu była wyrzeźbiona,
Jej krawatka z oniksu sięgała ogona.
Misterny perłowy ogon tej krewetki
Spoczywał niedbale na brzegu serwetki.
Serwetka, co dawniej ścisnęła serwatkę,
Służyła krewetce za miękką podstawkę,
By nie zarysować glazury serwantki,
Bo drogie kamienie mają ostre kantki.
W serwantce, gdzie dumnie mieszkała krewetka,
Tuż obok krawatki widniała winietka,
A ścisłej, wielo-zerowa choć niewielka metka,
Przypominająca, że antyk to nie byle betka...

Serwantkę z krewetką w krawatce i kwiatki
Można ponoć obejrzeć u Gienia Karwatki.